Nielegalny dekret



6 maja 1945 r. KRN wydała dekret znoszący śląska autonomię. To, że dekret nie ma mocy prawnej, ponieważ nie został ratyfikowany przez śląski sejm, wszyscy wiedzą, ale dlaczego III RP honoruje komunistyczne dekrety, tego nie wie nikt.

➢ str. 2

RAŚ dla każdego

RAŚ jest organizacją dla każdego, komu zależy na rozwoju naszego regionu. Jeśli dostrzegasz korzyśc z wprowadzenia autonomii i nie chcesz siedzieć z założonymi rękami, przyłącz się do nas. Wykaz terenowych kół RAŚ

➢ str. 5

Duch sportu i rywalizacji



O tym, że członkowie RAŚ noszą w sobie ducha sportu i zdrowej rywalizacji wiedzą wszyscy, ale jak wspaniale nim zarażają innych - małych, średnich i tych całkiem dużych - można było zobaczyć w Chorzowie. Obszerna relacja z tego wydarzenia

➢ str. 4

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

SCHLESISCHE SCHWALBE SLEZKÁ VLAŠTOVKA SILESIAN SWALLOW

ŚLŌNSKŌ SZWALBKA

JASKÓŁKA ŚLĄSKA

MIESIĘCZNIK GÓRNOŚLĄSKICH REGIONALISTÓW 05/2012 ISNN 1232-8383 NAKŁAD 5000 EGZ.

Edytorial

Wyjątkowo śląski maj



Foto: M. Peła

MONIKA KASSNER redaktor naczelna

Jak co roku maj obfituje w arcyciekawe imprezy proponowane przez RAŚ, choćby rozdanie Górnośląskich Tacytów, które w tym roku okazało się zachwycającą ucztą śląskości we wszystkich jej wymiarach. Laureatami tegorocznych nagród im. ks. Augustyna Weltzla zostali prof. Joanna Rostropowicz – wybitna filolożka klasyczna z Uniwersytetu Opolskiego oraz wykładowca Akademii Ekonomicznej w Katowicach – historyk prof. Alfred Sulik, z którym wywiad zamieściliśmy na s. 2. Tegoroczny maj to jednak nie tylko rozdanie Tacytów, to także zwołanie pierwszego w historii śląskiego „okrągłego stołu" (choć z kantami) oraz powołanie Rady Górnośląskiej, która ma reprezentować Górnoślązaków w rozmowach z rządem o sprawach dla nich priorytetowych, o tym piszemy w obszernym artykule na s. 1 i 3. Na s. 7 przedstawiamy kolejną nieznaną szerszym kręgom czytelników sylwetkę Vinzenza Priessnitza, a dla spragnionych rozważań tożsamościowych proponuję teksty ze s. 7 i 11 – „Nie ma wolności bez tożsamości" oraz „W Bielsku biją Ślązaków". W związku ze strajkiem w Hucie Batory na s. 10 przedstawiamy polemikę do drukowanego w ubiegłym numerze artykułu „Strajk i zwolnienia grupowe w Hucie Batory". O tym, że w RAŚ-u wiele się dzieje i że członkowie naszego stowarzyszenia angażują się w przeróżne inicjatywy, także kulturalne i sportowe można przeczytać na s. 4, 9, 10 i 11, gdzie zamieszczamy relacje i zapowiedzi imprez organizowanych przez działaczy naszego stowarzyszenia. Tradycyjnie na s. 6 obszerne tym razem wspomnienia Ślązaka rzuconego przez wojnę na front w Prusach Wschodnich, a na s. 3 przy okazji zbliżającego się VI Marszu Autonomii, historia orła górnośląskiego i złoto – modrej fany. Na koniec polecam ciekawe felietony ze s. 8 i życzę przyjemnej lektury.

Śląski Okrągły Stół

Ślązacy, łączmy się!



Foto: M. Dąbek

Obrady tzw. „śląskiego okrągłego stołu". Na pierwszym planie (drugi z prawej) Jerzy Gorzelik przewodniczący RAŚ i wiceprzewodniczący Henryk Mercik, w tle siedzi Artur Jabłoński - współprzewodniczący komisji wspólnej rządu i mniejszości.

Pod koniec kwietnia Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej zaproponowało innym śląskim organizacjom udział w swoistym „okrągłym stole", przy którym ustalone zostaną kierunki współdziałania na najbliższą przyszłość. Jednym z głównych motywów tego spotkania był pomysł wystąpienia do polskiego rządu i parlamentu z wnioskiem o ustanowienie śląskiej mniejszości etnicznej. Wynik zeszłorocznego Spisu Powszechnego, w czasie którego ponad 800 tys. osób zadeklarowało przynależność do śląskiej narodowości czy grupy etnicznej, powinien zostać odnotowany w polskim prawodawstwie – argumentowali pomysłodawcy. Ponieważ jednak w marcu został złożony w Sejmie, firmowany przez posła Marka Plurę (PO), projekt nowelizacji Ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych i języku regionalnym, który miał nadać śląskiej mowie status języka regionalnego, inicjatorzy spotkania postanowili skonsultować swoje pomysły z posłem i spotkanie zorganizować pod jego egidą.

Do spotkania doszło 7 maja w Katowicach. Stawili się liderzy głównych śląskich organizacji, ale również spora grupa osób reprezentują

cd na str. 3

Rozmowa z Rafałem Adamusem, Wiceprzewodniczącym Rady Górnośląskiej

Po co Ślązakom Górnośląska Rada?

- Jakie są plany i zamierzenia Rady Górnośląskiej na najbliższą przyszłość?

- Rada Górnośląska jest podmiotem zrzeszającym różne organizacje. Jej zamierzenia to w istocie zamierzenia organizacji, które wchodzą w jej skład. W czasie pierwszego, inauguracyjnego posiedzenia Rady wprawdzie wybrano na dwuletnią kadencję jej władze, ale to wszystkie organizacje członkowskie decydować będą o celach i działaniach Rady. Wysłaliśmy list do premiera i teraz oczekiwać będziemy odpowiedzi. Jeśli jednak w międzyczasie członkowie Rady większością głosów zdecydują o kolejnych działaniach to takowe zostaną podjęte.

- Jakie to mogą być działania?

- Trudno mi teraz podawać jakiekolwiek przykłady. Pro Loquela Silesiana, której w Radzie jestem przedstawicielem, ze względów statutowych zainteresowana jest głównie kwestiami językowymi. I o nie będziemy na forum Rady zabiegać. Ale Rada oprócz języka może zajmować się również kwestiami narodowości i edukacji regionalnej, a także wszystkimi sprawami priorytetowymi dla Ślązaków. Możliwe jest, więc pełne spektrum spraw, w które rada będzie się angażować. Wiem, że członków Rady martwią takie kwestie jak szkody górnicze związane z wydobywaniem węgla pod miastami czy ważnymi obiektami, także niesprawiedliwy dla Śląska podział środków finansowych w ramach Narodowego Funduszu Zdrowia. Może Rada zaapeluje o przywrócenie Śląskiej Kasy Chorych? Ale to tylko dywagacje. O tym, jak już powiedziałem, zdecyduje Rada większością głosów.

- Jak ocenia pan szanse, że postulaty, które wysunęła Rada zostaną przez władze centralne zaakceptowane?

- Wydaje się, że teraz szanse są większe niż kiedykolwiek wcześniej. Wynik zeszłorocznego Spisu Powszechnego czy wyborów samorządowych sprzed półtora roku, gdy Ruch Autonomii Śląska uzyskał bardzo dobry wynik wyborczy, wskazują na to, że oczekiwania mieszkańców Śląska są jasno sprecyzowane. Władze w dalszym ciągu próbują je ignorować, ale muszą zdawać sobie sprawę z tego, że dalsze przysłowiowe chowanie głowy w piasek będzie tylko radykalizować opinię publiczną. Niby w dalszym ciągu jest grupka osób nieprzejednanych, niby sam prezydent Komorowski jest przeciwny śląskiemu językowi regionalnemu, a jednak co jakiś czas dostajemy informację o poparciu dla naszych idei. Ostatnio nasi przyjaciele ze Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej otrzymali opinię Artura Jabłońskiego, przedstawiciela Kaszubów w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych i jednocześnie współprzewodniczącego tej Komisji. Opinia ta jest dla naszego języka pozytywna. To napawa optymizmem, że inni również przekonają się do naszej argumentacji.

Rozmawiała Monika Kassner

Rozmowa z

Laureat Tacyta z Mysłowic



ELŻBIETA TOMECKA

Po tym jak kilka miesięcy temu ukazała się na rynku książka pt. „Historia Mysłowic 1922-1945" pana autorstwa, media bardzo szeroko ten fakt komentowały. Teraz kiedy już ta „gorączka" trochę opadła, kapituła nagrody im .ks. Augustina Weltzla przyznała panu statuetkę „Górnośląskiego Tacyta" w kategorii „ badacz historii" za rok 2011. Czym jest dla Pana to zaszczytne wyróżnienie?

Dla mnie jest to wielki zaszczyt i honor, że moje badania związane z historią Śląska znalazły uznanie Kapituły Nagrody im. ks. Augustyna Weltzla „Górnośląski Tacyt". Czuję się zaszczycony z tego powodu, że zostałem uhonorowany w schyłkowym okresie mojego życia. Nagroda jest również satysfakcją za pięcioletnią pracę, jaką poświęciłem na pisanie obszernej książki nie tylko bez ekwiwalentu pieniężnego, ale także konieczności jej wydrukowania za własne środki. A więc praktycznie bez zarobku.

Pisząc „Historię Mysłowic 1922-1945" mającą charakter naukowy, korzystał pan z wielu materiałów źródłowych.

Jak wspomniałem praca jest bardzo obszerna. Dzieje miasta w Polsce Odrodzonej i Trzeciej Rzeszy Niemieckiej, czyli w okresie zaledwie 22 lat opisałem na 504 stronach. A więc znacznie szerzej aniżeli T. I „Historii miasta Mysłowic do 1922 roku". Uczyniłem to świadomie, by wyjaśnić i uzasadnić niektóre trudne procesy i wydarzenia, które nie zostały dotąd poruszone lub nierzetelnie przedstawione czy interpretowane.

Czy istnieją jeszcze jakieś znaczące z tego okresu materiały, do których nie udało się panu dotrzeć?

Ze względu na to, że lata 1922 -1945 były bardzo trudne dla mieszkańców Mysłowic, zadałem sobie trud zgromadzenia jak największej ilości materiałów archiwalnych, zdeponowanych w archiwach w Katowicach, Gliwicach, Wrocławiu, a nawet Poczdamie, przestudiowania opracowań w Bibliotece Śląskiej, a także informacji z gazet śląskich. Wykorzystałem ogromną ilość zebranych materiałów, których trudu zgromadzenia nie podejmie się w przyszłości indywidualnie żaden historyk, a które wyczerpują praktycznie istniejący zasób źródeł archiwalnych i bibliotecznych. Dodatkowym atutem tej publikacji jest fakt, że wiele spraw znałem z autopsji, gdyż od 1936 roku pamiętam doskonale lata moje i najbliższej rodziny, spędzone w Mysłowicach do 1945 r.

Wróćmy na chwilę do wydarzeń sprzed kilku lat, kiedy to Muzeum Miejskie w Sosnowcu przy współudziale Urzędu Miasta Mysłowic zorganizowało konferencję poświęconą „Kątowi Trzech Cesarstw", zwanemu popularnie „Trójkątem Trzech Cesarzy". Pana nie było na tym spotkaniu. Jak należy tłumaczyć pana nieobecność?

Mimo iż najwięcej na ten temat opublikowałem, na konferencję nie zostałem zaproszony. Jak się później zorientowałem z materiałów wydanych z konferencji, niektórzy jej uczestnicy w referatach wykorzystali dosłownie moją książkę i kilka artykułów na temat „Trójkąta." Podejmuję starania zaskarżenia plagiatorów.

Zaproponował pan, aby Mysłowickie Koło RAŚ sprawowało patronat wydawniczy nad wydaniem książki. Jest to dla naszego stowarzyszenia ogromne wyróżnienie. Skąd taka decyzja, czyżby idee RAŚ były panu bliskie?

Wynikało to nie tylko z krzewienia idei i zwyczajów moich przodków, wywodzących się z Brzęczkowic i Słupnej oraz Kosztów, Brzezinki i



Foto: Bernard Skotnik

Prof. dr hab. Alfred Sulik ur. 29 września 1931 roku Mysłowicach. Od urodzenia związany z tym miastem. Jest autorem wielu publikacji historycznych na temat Mysłowic m. in. obszernej dwutomowej „Historii Mysłowic", za której II tom otrzymał tegorocznego Tacyta nagrodę im. Ks. Augustyna Weltzla w kategorii badacz historii. Przez całe swoje życie działał i działa na rzecz Mysłowic, nie tylko na niwie naukowej, ale także społecznej i kulturalnej. W młodzieńczych latach robił karierę sportową w śląskich klubach piłki nożnej, później zajmował się działalnością organizacyjną na rzecz miasta – m. in. w latach 1959-1961był inicjatorem i współorganizatorem uroczystości z okazji jubileuszu 600-lecia istnienia miasta. Jest autorem niezliczonej ilości publikacji na temat historii Mysłowic, tąk samodzielnych jak i drukowanych w opracowaniach zbiorowych czy w prasie – m. in. Dzienniku Zachodnim, Życiu Mysłowic. Dzieje miasta propagował podczas wykładów, prelekcji i pogadanek organizowanych przez różne instytucje kultury i szkoły na terenie Mysłowic. Za długoletnią działalność na rzecz lokalnej społeczności został wielokrotnie odznaczony m. in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Mysłowic, moich wystąpień z referatami na spotkaniach członków Koła RAŚ, ale również aktywnego wsparcia w cyklu wydawniczym przez kierownictwo Koła.

Skoro dotykamy spraw bieżących, to chciałabym zapytać o pański stosunek do aspiracji Ślązaków o uznanie ich za mniejszość etniczną a język śląski za język regionalny.

Uważam starania o uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną, a mowę śląską określaną dotąd jako „narzecze śląskie" za język regionalny za racjonalne i słuszne.

Wiemy, że zgromadził pan materiały do trzeciej części historii Mysłowic. Kiedy możemy spodziewać się jej wydania?

Brak zainteresowania moją pracą nad dziejami miasta w Mysłowicach sprawiło, że od kilku miesięcy, mimo zgromadzenia potrzebnych materiałów, zaniechałem pracy. Do dalszej pracy zachęciła mnie jednak wręczona statuetka „Górnośląskiego Tacyta". T. III „Historia Mysłowic 1945 – 2012" tworzyć będzie „Trylogię dziejów Mysłowic". Jeżeli mój zaawansowany wiek i stan zdrowia pozwoli, zamierzam napisać jeszcze popularną historię dla dzieci.

Nasze sprawy

Rocznica nielegalnego dekretu



NORBERT SLENZOK

6 maja bieżącego roku obchodziliśmy kolejną, 67 już rocznicę ogłoszenia dekretu Krajowej Rady Narodowej (KRN), uchylającego ustawę konstytucyjną uchwaloną przez polski Sejm Ustawodawczy 15 lipca 1920 roku – Statut Organiczny Województwa Śląskiego. Tym samym zniesiona została autonomia, jaką cieszyło się nasze województwo w okresie międzywojennym i która pomogła mu w osiągnięciu pozycji najlepiej rozwiniętego gospodarczo obszaru ówczesnej Rzeczypospolitej. Po upływie blisko ćwierć wieku od tego smutnego wydarzenia, gdy autonomia Śląska ponownie staje się przedmiotem publicznej debaty, przypomnijmy sobie, kto i w jakich okolicznościach kiedyś nam ją odebrał.

Krajowa Rada Narodowa powstała z inicjatywy działaczy Polskiej Partii Robotniczej 1 stycznia 1944 roku,a jej przewodniczącym został Bolesław Bierut. Choć polscy komuniści dokonali tego bez konsultacji ze swoimi mocodawcami w Moskwie, ich cel od początku był jasny: dzięki pseudo-parlamentarnemu charakterowi nowopowstałego ciała oraz użyciu przymiotnika „narodowa" zamierzano wywołać bałamutne wrażenie, jakoby to partia komunistyczna, nie zaś ugrupowania lojalne wobec rządu londyńskiego, stanowiła reprezentację walczącego o niepodległość narodu polskiego. Tymczasem w okupowanej przez niemieckich narodowych socjalistów Polsce, komuniści cieszyli się śladowym poparciem, a kierowana przez nich partyzancka Gwardia Ludowa (od 01. 01. 1944 – Armia Ludowa) liczyła nie więcej niż kilka tysięcy członków, co przy w sumie kilkuset tysiącach żołnierzy Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich czy Narodowych Sił Zbrojnych budzić może jedynie politowanie. KRN należy więc uznać za instytucję z gruntu samozwańczą: nie dysponowała ona ani mandatem społecznym, ani w ogóle niczym, co uznaje się w świecie za podstawę do sprawowania władzy.

Oprócz jawnie uzurpatorskiego charakteru instytucji wydającej pamiętny dekret, w negatywnym świetle stawia go również 44. artykuł Statutu Organicznego, którego treść brzmiała następująco: „Ustawa, zmieniająca niniejszą ustawę konstytucyjną, a ograniczająca prawa ustawodawstwa lub samorządu śląskiego (...) wymagać będzie zgody Sejmu Śląskiego". Innymi słowy: każde ograniczenie autonomii województwa wymagało zgody jego organu ustawodawczego. Oczywiście, w przypadku dekretu KRN o niczym takim mowy być nie mogło, a zatem był on po prostu nielegalny. Czy dziś mógłby on zostać rozpatrzony przez Trybunał Konstytucyjny? Wydaje się, że tak. Choć bowiem Trybunał orzeka z zasady o wciąż obowiązujących normach prawnych, to istnieje od tej reguły pewien wyjątek: gdy akt prawny traci moc obowiązywania, ale na jego podstawie można orzekać o sytuacji z przeszłości. W odniesieniu do Statutu Organicznego i uchylającego go dekretu może to na przykład oznaczać roszczenia z tytułu zadłużenia zaciągniętego przez Skarb Państwa w stosunku do Skarbu Śląskiego.

Niestety: kiedy przed dwoma laty

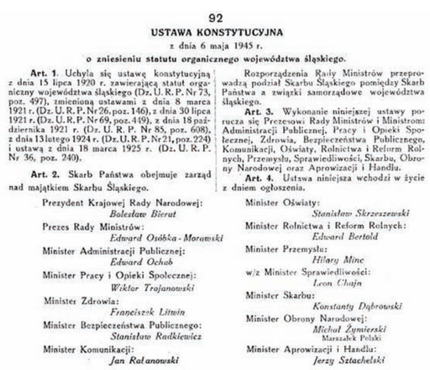

92

USTAWA KONSTYTUCYJNA
z dnia 6 maja 1945 r.
o zniesieniu statutu organicznego województwa śląskiego.

Art. 1. Uchyla się ustawę konstytucyjną z dnia 15 lipca 1920 r. zawierającą statut organiczny województwa śląskiego (Dz. U. R. P. Nr 73, poz. 497), zmienioną ustawami z dnia 8 marca 1921 r. (Dz. U. R. P. Nr 26, poz. 146), z dnia 30 lipca 1921 r. (Dz. U. R. P. Nr 69, poz. 449), z dnia 18 października 1921 r. (Dz. U. R. P. Nr 85, poz. 608), z dnia 13 lutego 1924 r. (Dz. U. R. P. Nr 21, poz. 224) i ustawą z dnia 18 marca 1925 r. (Dz. U. R. P. Nr 36, poz. 240).

Art. 2. Skarb Państwa obejmuje zarząd nad majątkiem Skarbu Śląskiego.

Rozporządzenia Rady Ministrów przepowiadzą podział Skarbu Śląskiego pomiędzy Skarb Państwa a związki samorządowe województwa śląskiego.

Art. 3. Wykonanie niniejszej ustawy poruczą się Prezesowi Rady Ministrów i Ministrom: Administracji Publicznej, Pracy i Opieki Społecznej, Zdrowia, Bezpieczeństwa Publicznego, Komunikacji, Oświaty, Rolnictwa i Reform Rolnych, Przemysłu, Sprawiedliwości, Skarbu, Obrony Narodowej oraz Aprowizacji i Handlu.

Art. 4. Ustawa niniejsza wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezydent Krajowej Rady Narodowej:
Bolesław Bierut
Prezes Rady Ministrów:
Edward Osóbka-Morawski
Minister Administracji Publicznej:
Edward Ochab
Minister Pracy i Opieki Społecznej:
Wiktor Trajanowski
Minister Zdrowia:
Franciszek Litwin
Minister Bezpieczeństwa Publicznego:
Stanisław Radkiewicz
Minister Komunikacji:
Jan Ratanowski
Minister Oświaty:
Stanisław Skrzeszewski
Minister Rolnictwa i Reform Rolnych:
Edward Bertold
Minister Przemysłu:
Hilary Minc
w/z Minister Sprawiedliwości:
Leon Chajn
Minister Skarbu:
Konstanty Dąbrowski
Minister Obrony Narodowej:
Michał Żymierski
Marszałek Polski
Minister Aprowizacji i Handlu:
Jerzy Sztachelski

Dekret KRN znoszący autonomię Śląska

RAŚ zwracał się do kandydatów na urząd Prezydenta RP z zapytaniem o to, czy w razie swojego zwycięstwa byliby skłonni skierować dekret KRN do sądu konstytucyjnego, odpowiedzi udzieliło tylko 3 kandydatów: Grzegorz Napieralski, Kornel Morawiecki i Janusz Korwin-Mikke, przy czym z aprobatą odniósł się do pomysłu wyłącznie ten ostatni.

Temat numeru

Ślązacy, łączmy się!

cd. ze str. 1

cych mniej aktywne stowarzyszenia, stojące z boku głównego nurtu walki o pobudzenie śląskiej tożsamości. Były także osoby prywatne, które nie reprezentowały żadnej organizacji. To, że te osoby mogły wyrazić swoje opinie, było zdecydowanym plusem tego spotkania. Jednakże organizatorom chodziło raczej o przyspieszenie działań na rzecz ochrony śląskiej kultury i tożsamości. A im większa grupa tym trudniej dojść do konsensusu i – tym bardziej – trudniej o owe przyspieszenie, na którym tak bardzo liderom SONŚ zależało. W trakcie dyskusji pojawiła się również kwestia reprezentacji Ślązaków w rozmowach z rządem w Warszawie i innymi instytucjami państwa polskiego. Powstał pomysł utworzenia Rady Górnośląskiej, której członkami zostałyby inne organizacje działające w interesie tożsamości i języka Górnoślązaków. Wydawało się, że upłynie dużo czasu zanim taka Rada powstanie, wszak niektórzy uczestnicy pamiętali dokładnie wcześniejsze, nieudane próby zbudowania koalicji śląskich organizacji (np. Jedności Górnośląskiej). Tym razem jednak sprawy potoczyły się błyskawicznie. Za pomocą poczty elektronicznej przesłano kilkunastu organizacjom zaproszenia do udziału w Radzie Górnośląskiej, wraz z projektem jej regulaminu. Równie szybko zaproszone organizacje uporały się z wymogiem formalnym, jakim było przesłanie pisemnej uchwały zarządu bądź innego organu uprawnionego do podjęcia decyzji o przystąpieniu do Rady. To zwiastowało zupełnie nową jakość we współpracy śląskich organizacji. Jakość ta została potwierdzona na spotkaniu założycielskim Rady, gdzie niemal wszystkie decyzje podejmowane były jednogłośnie. Dla wszystkich, którzy pamiętali wcześniejsze spory, była to sytuacja zaskakująca, ale zaskakująca zdecydowanie pozytywnie.

Czym będzie zajmować się Rada Górnośląska?

Zgodnie z uzgodnionym regulaminem Rada Górnośląska będzie upoważniona do rozmów z władzami polskimi w sprawie ustanowienia śląskiej mniejszości etnicznej, śląskiego języka regionalnego, wprowadzenia do szkół osobnego przedmiotu z zakresu edukacji regionalnej, a także w innych ważnych dla Śląska i jego mieszkańców sprawach. Tym razem warszawscy urzędnicy nie będą już mieli wymówki, że nie wiedzą z kim na Śląsku rozmawiać, bo tam jest tyle organizacji, że trudno wybrać tę jedną, która miałaby legitymację do rozmów z rządem. Rada Górnośląska taką legitymację ma, ponieważ tworzy ją aż 11 organizacji z dwoma najstarszymi i największymi - Ruchem Autonomii Śląska i Związkiem Górnoślązkim na czele. Jest więc szansa, że dialog na linii Ślązacy – władza centralna w Warszawie, wreszcie zostanie podjęty. Na swoim inauguracyjnym spotkaniu członkowie Rady wybrali spośród siebie Przewodniczącego i jego Zastępcę. Przewodniczących został Piotr Długosz ze Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej, a Wiceprzewodniczącym Rafał Adamus z Pro Loquela Silesiana Towarzystwa Kultywowania i Promowania Śląskiej Mowy.

Aktywność śląskich organizacji nie skończyła się na szczęście na powołaniu nowego podmiotu. Już następnego dnia, podczas uroczystego otwarcia w Mysłowicach Domu Ślōnskij Ferajny, organizacji będącej jednym z członków Rady Górnośląskiej, doszło do podpisania przez kilkunastu sygnatariuszy (wszystkich członków Rady i kilku organizacji, które do Rady ostatecznie nie weszły) oficjalnego listu do premiera Donalda Tuska. Sygnatariusze dopominają się w liście o uznanie śląskich aspiracji dotyczących narodowości i języka przez polskie władze. Proszą też o zaproszenie dwóch przedstawicieli Ślązaków, po jednym reprezentancie środowisk zajmujących się narodowością i językiem, do prac w Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Dzięki temu głos Ślązaków byłby słyszany w Warszawie, w miejscu, w którym decyduje się m.in. o wsparciu finansowym dla poszczególnych mniejszości. W uroczystości otwarcia Domu i podpisania listu do premiera wzięli też udział, jako goście, poseł Marek Plura i Prezydent Mysłowic Edward Lasok. Obaj podkreślali historyczną rolę chwili, w której uczestniczą.

Lista organizacji członkowskich Rady Górnośląskiej:

1) Stowarzyszenie Osób Narodowości Śląskiej
2) Pro Loquela Silesiana Towarzystwo Kultywowania i Promowania Śląskiej Mowy
3) Tōwarzistwo Piastowaniō Ślōnskij Mōwy „Danga"
4) Ruch Autonomii Śląska
5) Związek Górnośląski
6) Związek Ślązaków
7) Silesia Schola – Stowarzyszenie na rzecz edukacji regionalnej
8) Ślōnskō Ferajna
9) Przymierze Śląskie
10) Fundacja Silesia
11) Nasz Wspólny Śląski Dom

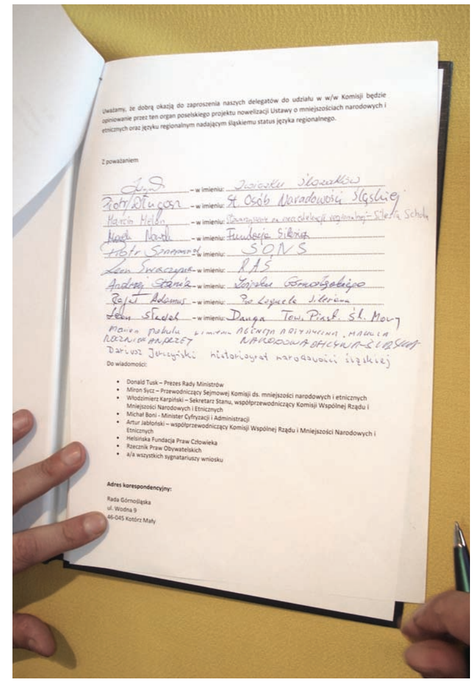

List do premiera Donalda Tuska podpisany przez przedstawicieli organizacji wchodzących w skład nowo powstałej Rady Górnośląskiej oraz osób prywatnych zaproszonych do jej prac

Nasze sprawy

Nieporozumienia z flagą w tle



MONIKA KASSNER

M n i e m a m , że każdy z czytelników wie, skąd pochodzą barwy, którymi posługuje się Ruch Autonomii Śląska. Wiadomo powszechnie, że są to historyczne barwy Górnego Śląska. Ale czy wiedza rzeczywiście jest taka powszechna, skoro po spektaklu „Miłość w Koenigshütte" Ingmara Villqista pojawiły się głosy, że barwy opasek, które założyli aktorzy i reżyser wychodząc na scenę do publiczności, to barwy RAŚ.

W związku z brakiem edukacji regionalnej nie każdy musi wiedzieć, że barwy, jakimi posługuje się RAŚ to – powtórzę – historyczne barwy Górnego Śląska. Sadzę, że gdyby obowiązywała systemowa edukacja regionalna z prawdziwego zdarzenia, takie dyskusje nie miałyby dziś miejsca. Ale niestety mają i to jest przykre. Ale właśnie dlatego, że regionalizm w szkołach kuleje, a dysputy na temat barw regionalnych alias rasiowych nie raz jeszcze się pojawią, postanowiłam przypomnieć dzieje barw naszego regionu i przy okazji orła górnośląskiego.

Złoto – modre barwy

Żeby żadnemu z naszych czytelników nikt nie mógł wmówić, że żółto-niebieska flaga albo jak kto woli złoto-modro fana to symbol RAŚ, przypomnę, że barwy górnośląskie sięgają czasów średniowiecza i po raz pierwszy pojawiają się w XIV-wiecznym herbarzu Gerlego (patrz zdjęcie), w którym ukazano herb Władysława II Opolczyka. Przy tej okazji warto zadać sobie pytanie: skąd błękit i złoto, a nie np. czerwień, czerń lub srebro, tak typowe dla heraldyki polskiej? Na jednym z opolskich portali można wyczytać piękne aczkolwiek nie do końca prawdziwe tłumaczenie symboliki barw górnośląskich. Według tego portalu złoto ma symbolizować łany zboża nad błękitnymi wodami Odry. Tak naprawdę błękit i złoto pochodzą z herbu Andegawenów (złote lilie na błękitnym tle). To właśnie na dworze Ludwika Węgierskiego książę Władysław II Opolczyk zrobił zawrotną karierę, wykorzystując w herbie barwy używane przez swojego mocodawcę. Swego czasu został mianowany palatynem Węgier, czyli drugą osobą po królu, a w 1372 r. otrzymał namiestnikostwo Rusi Halickiej, której nadał swoje barwy rodowe, z tym, że w odwrotnej kolejności – błękitno-złote. (czyt. NGŚ 4/2011) Stąd pochodzi dzisiejsza flaga Ukrainy. Barwy używane przez Władysława II Opolczyka przyjęły też inne linie Piastów górnośląskich, stając się symbolicznymi dla tych ziem. Świadczy o tym XV-wieczny „Codex Bergshammar". Do tych barw nawiązuje też wiele herbów miast Górnego Śląska, ale nie tylko. Choć Częstochowa nie jest śląskim miastem, nosi herb, którego proweniencja jest stricte górnośląska i wiąże się także z osobą księcia Władysława Opolczyka, który jako wielkorządca Polski z ramienia króla węgierskiego, obciążył podatkami biskupstwo płockie.



Foto: Wikimedia

Pierwsze w historii przedstawienie herbu Piastów Górnośląskich - orzeł Władysława Opolczyka z herbarza Gerlego z XIV w.

Na taką zuchwałość biskup zareagował obłożeniem księcia klątwa. Ten ostatni, chcąc cofnąć ekskomunikę, oprócz uchylenia obciążeń finansowych, jako pokutę obiecał ufundować klasztor. Słowa dotrzymał i w 1382 r. sprowadził z Węgier zakon paulinów, których osadził w klasztorze na Jasnej Górze. Ponadto umieścił w klasztornym kościele przywieziony z Bełza na Rusi cudowny obraz Madonny, do którego dziś modlą się rzesze pielgrzymów z całej Polski i nie tylko. Cóż za historyczny zbieg okoliczności, że największe polskie sanktuarium pielgrzymkowe zostało założone przez Piasta górnośląskiego. Wracając jednak do tematu barw górnośląskich warto też podkreślić, że województwo śląskie nie używa flagi składającej się z dwóch, ale z trzech pasów – błękitnego – żółtego – błękitnego, która została wprowadzona decyzją radnych sejmiku w 2000 r.

Dwaj orli bracia

Jeśli zajmujemy się barwami Górnego Śląska nie sposób nie wspomnieć o wizerunku orła na godle tej ziemi. Orzeł po raz pierwszy pojawił się w 1222 r. na pieczęci księcia opolsko – raciborskiego Kazimierza I. Od Władysława opolsko – raciborskiego ów znak heraldyczny był dziedziczony przez wszystkich piastowskich książąt Górnego Śląska. Niekoronowany złoty orzeł na błękitnym tle wpisał się na stałe do tradycji heraldycznej regionu. Pojawił się w latach 1918 – 21, a także przy okazji uroczystego aktu przejęcia Górnego Śląska przez Polskę w 1922 r. Ponadto wystąpił w projekcie herbu Autonomicznego Województwa Śląskiego pochodzącego z 1927 r., a nawet w herbie województwa katowickiego. Charakterystyczną cechą orła górnośląskiego jest brak korony, ponieważ jego odpowiednik używany jako herb województwa opolskiego koronę posiada. Pojawiała się ona epizodycznie na wizerunkach heraldycznych używanych przez księcia Kazimierza II cieszyńskiego, a na stałe zaczął stosować koronowanego orła Jan II Dobry na początku XVI wieku, który mocą swego testamentu zapisał ten herb stanom księstwa opolsko-raciborskiego, co de facto uczynilo jego posiadaczami wszystkich mieszkańców tej ziemi. Stąd dzisiejszy herb województwa opolskiego to koronowany złoty orzeł, nie mylić z górnośląskim orłem bez korony. Choć przecież historyczną stolicą Górnego Śląska jest właśnie Opole.

Kończąc apeluję do samorządowców – uczcie się historii regionu i pozwólcie uczyć się jej dzieciom, żeby już żaden „wykształcony" znawca sztuki czy polityki nie napisał, że aktorzy w ramach niedopuszczalnej agitacji politycznej przywdziali żółto – niebieskie opaski RAŚ. Co więcej – bądźcie dumni ze swego herbu i po prostu używajcie go.

Zdarzyło się na Śląsku

Piłkarski turniej w Chorzowie pod szyldem RAŚ



MARIUSZ WONS



KRZYSZTOF SZULC

Często jest tak, że ludzie poświęcający swój własny czas i pieniądze na działania społeczne, wykorzystują swoją energię na kilku płaszczyznach. Typową organizacją opartą na takich działaniach jest Ruch Autonomii Śląska. Od czasu do czasu słyszymy, że poza swoimi sztandarowymi działaniami jak popularyzacja idei autonomii i zabieganie o nią oraz działania na rzecz ochrony zabytków, szerzenia wiedzy o dziedzictwie kulturowym Górnego Śląska, poszczególne koła RAŚ organizują turnieje sportowe, pikniki czy inne rodzinne imprezy. Wiąże się to niewątpliwie z nieodpartą potrzebą robienia czegoś dla ludzi i przebywania wśród nich, tudzież czerpania z tej działalności własnej satysfakcji. Poza tym jest to dobra metoda integrowania środowiska tak wokół organizacji jak i idei, oraz otwarcia na nowe. Sportowa rywalizacja naturalnie łączy się z wyrabianiem poczucia tolerancji, otwarcia na drugiego człowieka, będąc jednocześnie najzdrowszą formą spędzania wolnego czasu.

Członkowie i sympatycy Ruchu Autonomii Śląska w Chorzowie zasmakowawszy w imprezach kulturalnych i sportowych takich jak np. turniej tenisa ziemnego, postanowili zorganizować zawody piłkarskie w kilku kategoriach wiekowych. Mimo iż tego typu imprezy tak dla dzieci jak i dorosłych były już wcześniej wielokrotnie organizowane, to wielkie przedsięwzięcie zorganizowano po raz pierwszy. Impreza okazała się na tyle interesująca i atrakcyjna tak dla zawodników jak kibiców, że organizatorzy zapowiedzieli jej coroczną cykliczność. Watro wspomnieć, że w tym roku jest też w planach listopadowa impreza dla dzieci i młodzieży podobna do tej, jaka odbyła się w zeszłym roku. Wróćmy jednak do opisywanych kwietniowych turniejów, których współorganizatorem był Miejski Ośrodek Rekreacji i Sportu. Odbyły się one w dniach 19, 20 i 21 kwietnia. Pierwszego dnia w chorzowskiej hali MORIS zagrały przedszkolaki. W turnieju tym udział wzięło dziesięć drużyn reprezentujących chorzowskie przedszkola. Najlepszą drużyną okazała się reprezentacja przedszkola nr 23. Drugie miejsce przypadło przedszkolu nr 28, a trzecie zajęły dzieciaki z przedszkola nr 8. W turnieju tym wyróżniono także najlepszych zawodników, spośród których królem strzelców został Franek Nowak, a w bramce nie miał sobie równych Wiktor Siemierski.



Foto: L.Swaczyna

Drużyna RAŚ Chorzów Stary

Główna impreza odbyła się na boisku MORIS Chorzów ze sztuczną nawierzchnią przy ulicy Floriańskiej. W turnieju seniorów udział wzięły cztery koła RAŚ oraz drużyny pracowników Huty Batory, Hajduk Wielkich, kibiców Ruchu Chorzów, MORIS-u Chorzów, urzędu miasta Chorzów oraz ministrantów z Hajduk. Z Ruchu Autonomii Śląska swoje reprezentacje wystawiały koła Chorzów Stary, Chorzów, Świętochłowice i Region Opolski. Dziesięć drużyn zostało podzielonych na dwie grupy po pięć drużyn, z których dwie pierwsze awansowały do półfinału, a pozostałe grały ze sobą o kolejne miejsca w klasyfikacji końcowej.



Foto: L.Swaczyna

Drużyna RAŚ region opolski

Równolegle z rozgrywkami piłkarskimi na terenie obiektu trwał piknik rodzinny, na którym nie zabrakło atrakcji dla dzieci takich jak kule na wodzie, mini koszykówka oraz wiele innych zabaw sprawnościowych. Rodzice zaś mogli się rozkoszować wusztami, krupniokami, kreplami, zimnym piwem oraz ogromnymi emocjami sportowymi na boisku. Mimo nieco chłodnej pogody frekwencja dopisała, a organizacja przebiegła wzorowo. Każdemu zawodnikowi organizatorzy zapewnili ciepły posiłek, kufel piwa (oczywiście dorosłemu) oraz w razie potrzeby opiekę medyczną.

Jeśli chodzi o zmagania czysto sportowe to atmosfera była naprawdę gorąca. Poziom umiejętności sportowych drużyn, które zakwalifikowały się do półfinału był wysoki i wyrównany. Najlepszą drużyną turnieju okazała się ekipa Hajduk Wielkich, która pokonała w finale koło RAŚ ze Starego Chorzowa 4:0. W małym finale o trzecie miejsce pracownicy Huty Batory ulegli drużynie MORIS-u 1:3. W walce o piąte miejsce pracownicy urzędu miasta Chorzów okazali się lepsi od świętochłowickiego koła RAŚ, a w rywalizacji o siódme miejsce chorzowskie koło RAŚ pokonało drużynę ministrantów z Hajduk. Dwa ostatnie miejsca przypadły drużynom kibiców Ruchu Chorzów oraz RAŚ-u regionu opolskiego. Najlepszym strzelcem turnieju został Dariusz Steiman z RAŚ Chorzów Stary, a bramkarzem Jarosław Tąder z Hajduk Wielkich. Medale i puchary zawodnikom wręczyli poseł na Sejm RP Maria Nowak oraz członek zarządu Ruchu Autonomii Śląska Leon Świaczyna, którzy przez cały turniej śledzili zmagania drużyn. W czasie dekoracji szczególne brawa oraz słowa uznania, a zarazem wsparcia otrzymali pracownicy Huty Batory, którzy pomimo bardzo skomplikowanej sytuacji zawodowej wzięli udział w imprezie.



Foto: M. Skałbania

Mecz drużyn RAŚ Chorzów i RAŚ Chorzów Stary



Foto: M. Skałbania

Drużyna RAŚ Chorzów podczas meczu

Ruch Autonomii Śląska

INFORMATOR RAŚ RUCH AUTONOMII ŚLĄSKA

Koło RAŚ Bieruń - Lędziny
e-mail: sbl@autonomia.pl
Przewodniczący: Dariusz Dyrda
Tel. 501 411 994

Koło RAŚ Bytom
e-mail: bytom@autonomia.pl
Przewodniczący: Dawid Grabowski
Tel. 505 961 076

Koło RAŚ Chełm Śląski
e-mail: chelm@autonomia.pl
Przewodniczący: Aleksander Kiszka
tel. 606 932 834

Koło RAŚ Chorzów I
e-mail: chorzow@autonomia.pl
Przewodniczący: Krzysztof Szulc
Tel. 603 656 197

Koło RAŚ Chorzów II
e-mail: florek555@interia.pl
Przewodniczący: Marian Skałbania
Tel. 698 122 068

Koło RAŚ Czerwionka-Leszczyny
czerwionka-leszczyny@autonomia.pl
Osoba kontaktowa: Andrzej Raudner
Tel. 604 523 147

Koło RAŚ Gliwice
e-mail: gliwice@autonomia.pl
Przewodniczący: Szymon Kozioł
Tel. 723 728 944

Koło RAŚ Katowice
e-mail: katowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Michał Kieś
Tel. 507 128 894

Koło RAŚ Katowice Południe
e-mail: rottenburg@poczta.onet.pl
Przewodniczący: Tomasz Świdergał
Tel. 790 899 146

Koło RAŚ Kobiór
e-mail: klakusp@poczta.onet.pl
Przewodniczący: Piotr Klakus
Tel. 604 526 733

Koło RAŚ Leszczyny
e-mail: kluczniokowie@wp.pl
Przewodnicząca: Ewa Kluczniok
Tel. 797 411 494

Koło RAŚ Lubliniec
e-mail: lubliniec@autonomia.pl
Przewodnicząca: Halina Trybus
Zasięg: powiat lubliniecki

Koło RAŚ Lyski
e-mail: lyski@autonomia.pl
Przewodniczący: Grzegorz Gryt
Zasięg: Lyski, Gaszowice, Jejkowice

Koło RAŚ Mikołów
e-mail: mikolow@autonomia.pl
Przewodniczący: Karol Sikora
Tel. 510 077 053

Koło RAŚ Mysłowice
e-mail: myslowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Lucjan Tomecki
Tel. 605 958 499

Koło RAŚ Region Opolski
e-mail: ras@rasopole.org
Przewodniczący: Marek J. Czaja
Tel. 693 567 733

Koło RAŚ Piekary Śląskie
e-mail: piekary@autonomia.pl
Przewodniczący: Grzegorz Miler
Tel. 889 625 832

Koło RAŚ Pszczyna
e-mail: pszczyna@autonomia.pl
Przewodniczący: Zdzisław Spyra
Zasięg: powiat pszczyński

Koło RAŚ Ruda Śląska
e-mail: ruda@autonomia.pl
Przewodniczący: Roman Kubica
Tel. 607 336 844

Koło RAŚ Rybnik
e-mail: rybnik@autonomia.pl
Osoba kontaktowa: Zenon Wieczorek
Zasięg: powiat rybnicki

Koło RAŚ Siemianowice Śląskie
siemianowice@autonomia.pl
Przewodniczący: Adam Korzeniowski
Tel. 602 363 873

Koło RAŚ Śląsk Cieszyński
slaskcieszynski@autonomia.pl
Przewodniczący: Grzegorz Szczepański
Tel. 781 779 882

Koło RAŚ Świerklany
e-mail: swierklany@autonomia.pl
Przewodniczący: Andrzej Kiełkowski
Tel. 507 308 792

Koło RAŚ Świętochłowice
swietochlowice@autonomia.pl
Przewodnicząca: Monika Kassner
Tel. 516 056 396

Koło RAŚ Tarnowskie Góry
e-mail: boino@centrum.cz
Osoba kontaktowa: Roman Boino
Tel. 605 062 700

Koło RAŚ Tychy
e-mail: tychy@autonomia.pl
Przewodniczący: Jerzy Szymonek
Tel. 508 597 837

Koło RAŚ Wodzisław/Żory
e-mail: wodzislaw@autonomia.pl
Przewodniczący: Adrian Wowra
Tel. 502 144 446

Koło RAŚ Zabrze
e-mail: historyk@interia.pl
Osoba kontaktowa: Marek Smuda
Tel. 600 350 629

Szczegóły dotyczące poszczególnych kół znajdują się na naszej stronie: **http://autonomia.pl**

ZAPRASZAMY

PORADZYMY

ZEBRANIA KÓŁ RUCHU AUTONOMII ŚLĄSKA:

Koło RAŚ Chorzów I
ul. Powstańców 70/3
wtorki 17:00 - 18.00

Koło RAŚ Katowice
ul. Dąbrówki 13/401
wtorki 16.00-18.00

Koło RAŚ Mikołów
pierwszy i trzeci poniedziałek miesiąca w Łaziskach Średnich, ul. Wyszyńskiego 8 (II piętro, p. 25) w godz. 16.00-18.00

Koło RAŚ Mysłowice
ul. Mikołowska 4a
wtorki 18.00-19.00

Koło RAŚ Pszczyna
ul. 3 Maja 15a
pierwsza środa miesiąca 18.00

Koło RAŚ Ruda Śląska
ul. Niedurnego 36/409
wtorki 17.00-18.00

Koło RAŚ Świętochłowice
ul. Kubiny 16a
poniedziałki 18.00

Kto jest kim w RAŚ

Marek Nowak

Urodzony 20 czerwca 1973 r. w Chorzowie. Mieszka w Chorzowie Starym, z którym jego rodzina związana jest od wielu stuleci. Żonaty - żona Iza, ma dwóch synów Pawła i Franka. Od 1991 r. prowadzi działalność gospodarczą. Do RAŚ-u należy praktycznie od początku tj. od 1991r. W latach 90-tych tworzył koło RAŚ Chorzów Stary. Jest członkiem stowarzyszenia Pro Loquela Silesiana Towarzystwa Kultywowania i Promowania Śląskiej Mowy. Stara się, aby godka ślonsko przywrócić do codziennego użycia, a jednocześnie nadać jej status języka regionalnego. Jest jednym z autorów „Górnośląskiego Słabikorza" oraz twórcą innych tekstów pisanych w języku śląskim. Wraz z żoną założył zespół dziecięcy „Mode Starochorzowiany", któremu też pisze teksty przedstawień śląskich. Zespół prezentuje ludowe tańce śląskie, pieśni oraz wystawia spektakle w języku śląskim. Występował w audycjach radiowych Radia Piekary oraz Radia eM – promując śląski język. Należy także do fundatorów Starochorzowskiej Fundacji Kultury. Od kilku lat jako jej prezes organizuje cykliczne imprezy „Starochorzowskie Żniwne" oraz „Chorzowski Bal Ślonzoka". Prywatnie jest wielkim fanem piłki nożnej. Od bajtla kibicuje Ruchowi Chorzów. Należy do grona założycieli Sportowej Spółki Akcyjnej Ruch Chorzów. W latach 2004 – 2006 był członkiem zarządu i prezesem tej spółki. Od lat 90-tych prowadzi zespół futsalowy KP „Marex", który to od wielu lat gra w ogólnopolskiej lidze futsalu. Jest również pomysłodawcą cyklicznych turniejów piłkarskich dla dzieci i dorosłych organizowanych przez chorzowskie koła RAŚ. Równocześnie angażuje się w inne działania RAŚ-u np. akcje „Tyta do pierszoka", „Gyszynki od św. Mikołaja". Jest inicjatorem mszy w intencji poległych Ślązaków w I wojnie światowej oraz uczestnictwa sztandaru RAŚ-u w pielgrzymce mężczyzn do Piekar Śląskich. Stara się w swoim życiu kierować nauką Kościoła toteż swoim dzieciom wpaja takie cechy jak pobożność, szacunek do ludzi starszych i dla rodziny, pracowitość, słowność oraz uczciwość. Dużą wagę przywiązuje do czystości ślonskij godki. Uważa, że „Ślonzoki nie przeklinają". Stara się promować śląskie symbole oraz barwy. Swojej pracy na rzecz innych zawdzięcza rozpoznawalność w lokalnej społeczności.



Foto: zbiory prywatne

Red.

JASKÓŁKA ŚLĄSKA
WYDAWCA:
Ruch Autonomii Śląska
Siedziba wydawcy:
ul. Dąbrówki 13/401,
40-081 Katowice
Nakład:
5000 egz.
Redaktor naczelna:
Monika Kassner
Korekta:
Norbert Slenzok
Skład:
Media Creative Group
www.mediacreativegroup.pl
Kontakt z redakcją:
redakcja@jaskolkaslaska.eu
Tel. 516 056 396

Krzysztof Szulc

Trzydziestosiedmioletni chorzowianin, od pokoleń związany z lokalnymi tradycjami, oraz regionalną kulturą. Aktywny działacz Ruchu Autonomii Śląska od 2004 roku. Początkowo był członkiem zwyczajnym koła, później wszedł do zarządu jako odpowiedzialny za stronę internetową i komunikację z mediami. Obecnie - po rezygnacji poprzedniego przewodniczącego - dwukrotnie wybrano go przewodniczącym koła Chorzów. Był uczestnikiem dwóch Kongresów. Jest też jednym z inicjatorów przeniesienia siedziby RAŚ w Chorzowie do nowo powstającego Chorzowskiego Centrum Organizacji Pozarządowych. Organizuje pokazy filmów o tematyce górnośląskiej w Chorzowskim Centrum Kultury oraz spotkania propagujące ideę autonomii. Jest pomysłodawcą i twórcą pierwszej strony internetowej koła oraz głównym administratorem obecnej. Pisze artykuły i wywiady zamieszczane w lokalnych mediach oraz na stronie i prasie RAŚ. Czynnie angażuje się w kampanie wyborcze w wyborach lokalnych oraz ogólnopolskich – jest koordynatorem okręgów wyborczych w Chorzowie. Uzyskał najwyższe poparcie z listy startujących pod szyldem Ruchu Autonomii Śląska w wyborach do rady miasta w 2010. Z wykształcenia ekonomista, wieloletni pracownik chorzowskich hut Batory i Kościuszko w wydziałach łączności, obecnie pracownik MORIS-u. Inicjator wielu lokalnych przedsięwzięć m. in. przyczynił się do powstania miejsc upamiętnienia słynnych chorzowian - Mirosława Breguły oraz Ryszarda Riedla. Czas wolny poświęca rodzinie. Żonaty, ma córkę Annę. Wolny czas poświęca na sport – jest wiernym kibicem Ruchu Chorzów. Jego inną pasją jest historia Górnego Śląska.



Red.

Ślązacy na frontach II wojny światowej

Widziałem, jak umiera III Rzesza



MARIAN KULIK

Tak zaproponował nazwać swoje wspomnienia pan Edward, od którego otrzymałem zaproszenie na przeprowadzenie wywiadu. Obecnie pan Edward mieszka na dalekich obrzeżach Rybnika, czyli w Górkach Śląskich - miejscu spokojnym, pośród czystych lasów. Naszą opowieść rozpoczniemy od Hajduk Wielkich (obecnie Chorzów Batory - dzielnica Chorzowa) roku 1926, kiedy urodził się Edward - drugie dziecko kolejarza i gospodyni domowej.

Rodzinne Hajduki Wielkie

Nasza rodzina jak prawie każda w ówczesnej Królewskiej Hucie była rodziną śląską. Ojciec w czasach swej młodości brał aktywny udział w śląskiej wojnie domowej (powstania śląskie) jako powstaniec, co wywarło wpływ na jego dalsze życie i całej naszej rodziny. Już w latach 20-tych XX w. został przyjęty do pracy w PKP, co w owym czasie było równoznaczne z awansem społecznym, jako że kolej była przedsiębiorstwem państwowym, gwarantującym stabilną i dobrze płatną pracę oraz mieszkanie w budynku będącym własnością kolei. Dla nas - rodziny wielodzietnej - miało to szczególne znaczenie, stanowiąc gwarancję, że nikt nam bezpodstawnie nie odbierze prawa do lokalu o podwyższonym standardzie. Nasz budynek musiał być dość obszernym familokiem, skoro mieszkało w nim osiem rodzin, a na parterze była tzw. świetlica, gdzie zbierała się młodzież zrzeszona w organizacjach paramilitarnych, którą dowodził i szkolił mój ojciec. Jako dowódca i instruktor w jednej osobie, ojciec przechowywał w domu trzy karabiny, przy pomocy których młodzi ludzie ćwiczyli swoje umiejętności strzeleckie, bawiąc się przy okazji w wojnę. Niektórzy z tych młodych chłopców w swej młodzieńczej naiwności uwierzyli, że wojna to tylko zabawa, w której ginie wyłącznie przeciwnik. Za te chłopięce fantazje przyszło im zapłacić najwyższą cenę. Na krótko przed wybuchem wojny Chorzów zaczął przypominać „garnek z gotującą się wodą", który ktoś przez nieuwagę przykrył pokrywką. Wzajemna niechęć zrodzona jeszcze w czasach wojny domowej między ludnością o orientacji niemieckiej i polskiej, tłumiona przez 17 lat, teraz zaczęła gwałtownie emanować, ale już nie niechęcią, lecz prawdziwą nienawiścią. Pyskówki i awantury uliczne stały się codziennością. Dzisiaj po latach zastanawiam się, dlaczego władze państwowe, mając do swej dyspozycji środki umożliwiające załagodzenie czy stłumienie wzajemnych waśni, nie zastosowały zgodnie z prawem tych mechanizmów, ale obojętnie patrzyły na pogarszającą się sytuację, tak jakby miały w tym swój własny interes.

W lipcu 1939 r. mój ojciec został zmobilizowany i jako saper kolejowy stacjonował w Krakowie. Myślę, że będąc wojskowym, miał bardziej precyzyjny wgląd w dramatycznie pogarszającą się sytuację polityczną i z tego powodu tak nagle zdecydował, abyśmy się przeprowadzili w sierpniu do Kielc, gdzie mieszkał brat ojca.

I Kielecki epizod

Wybuch wojny zastał nas w Kielcach, gdzie za wyjątkiem strachu wywołanego komunikatami wojennymi, nic specjalnego się nie działo. Było spokojnie bez werbli i fanfar… Czekano. Oczekiwanie skończyło się któregoś wrześniowego dnia, kiedy do miasta wkroczyły oddziały Werhmachtu. Mieszkańcy Kielc, patrząc na pędzące przez miasto kolumny wojskowe, powoli zaczynali rozumieć, jak bardzo byli manipulowani przez propagandę II Rzeczypospolitej, która do granic absurdu wyolbrzymiała własną siłę przy równoczesnym zaniżaniu potęgi Rzeszy.

Pod koniec września matka otrzymała informacje, że ojciec dostał się do niemieckiej niewoli i jako podoficer nieco tam pobędzie. Te i jeszcze inne informacje zadecydowały o powrocie do Hajduk. Nasz powrót w rodzinne strony odbywał się okrężną drogą przez Częstochowę, ale nikt nie narzekał, mając na uwadze zaistniałą sytuację.

Po wielu perypetiach, dotarliśmy pod nasz dom, a tu gorzka niespodzianka. Okazało się, że nasze mieszkanie jest zaplombowane i przeznaczone dla innej rodziny. Po tym hiobowym odkryciu, cała nasza czwórka usiadła pod drzwiami już nie naszego mieszkania, chwilę w smutku pomedytowała i chcąc nie chcąc „odmaszerowała" do naszej starki, u której zamieszkaliśmy w dziesiątkę na 40 m2. Krótko potem matka zameldowała nas wszystkich w urzędzie, gdzie po weryfikacji otrzymaliśmy III grupę narodowościową, stając się tym samym obywatelami III Rzeszy, z wszystkimi obowiązkami i przywilejami z tego wynikającymi.



Foto: Mendel (źródło - Niemieckie Archiwum Federalne)

Żołnierze niemieccy na froncie wschodnim.

Niebawem zjawił się nasz ojciec, który wraz ze swoim kolegą uciekł z niewoli, ale jego pobyt w Chorzowie - na powrót wcielonym do Niemiec - musiał być głęboko zakonspirowany, gdyż już wtedy był intensywnie poszukiwany przez Geheime Staatspolizei (policja polityczna) ze względu na jego przedwojenną działalność. Aby nie zostać zadenuncjowanym, cichaczem wyjechał do Generalnej Guberni i zamieszkał w odległej od centrum Kielc dzielnicy Baranówek, gdzie udało mu się pod zmienionym nazwiskiem zameldować, dzięki czemu otrzymał pracę i nowe dokumenty. Moja matka, jak przystało na wzorową żonę, razem z dziećmi pojechała za mężem, co nie było trudne, gdyż jako Niemka mogła spokojnie podróżować i zamieszkać wśród Polaków.

II epizod kielecki

Pomimo że trwała wojna, nasz pobyt w Kielcach przebiegał bez większych wstrząsów. Każdy żywił nadzieję, że wojna musi się kiedyś skończyć i wszystko wróci do normalności. Jako Niemcy mieliśmy kartki żywnościowe bogatsze od naszych sąsiadów, co w niczym nie pogorszyło stosunków między nami, które do końca naszego pobytu w tym mieście układały się bardzo poprawnie. Ojciec, jako były podoficer WP, dość wcześnie związał się z polskim podziemiem. Nie jestem w stanie powiedzieć, jakie to były organizacje, ale był w tej konspiracji dość mocno zakotwiczony.

Mnie z kolei rodzice umieścili w szkole zawodowej, gdzie przyuczałem się do zawodu mechanika samochodowego. Praktykę odbywałem w warsztatach samochodowych, gdzie prowadzono głównie remonty sprzętu wojskowego, co już niedługo miało mi się bardzo przydać. W szkole miałem okazję obserwować, jak paru kolegów zaangażowało się działalność podziemną i szybko musieli zniknąć, bo ktoś doniósł na nich do gestapo.

Na początku 1944 r. zostałem wezwany do komisji wojskowej w Krakowie, która mieściła się w ogromnym gmachu. Po dość szczegółowych oględzinach zadecydowano, że jestem zdolny do odbycia służby wojskowej w Wehrmachcie i skierowano mnie do Legionowa koło Warszawy, gdzie spotkałem wielu rekrutów z całej Polski. Z kolei w Legionowie komenda wojskowa mieściła się w starych koszarach, gdzie zjawił się niemiecki oficer frontowy, który szybko skompletował z nas 100-osobowy oddział, który otrzymał nazwę Zapasowego Oddziału Pancernego z siedzibą w Zinten –Prusy Wschodnie.

Po przybyciu do Zinten - miejsca stacjonowania naszej jednostki - od razu zostaliśmy wciągnięci w ostre szkolenie, żelazną dyscyplinę z turlaniem się w błocie włącznie. Niemcy w owym czasie były już w kiepskiej kondycji, co musiało rzutować na sytuację nas - rekrutów. Wydano nam jakieś przedpotopowe mundury z mnóstwem zbędnych guzików, które dzięki Bogu używaliśmy tylko na terenie koszar, jako ćwiczebne. A jako pancerniacy, mieliśmy już odpowiednie mundury, ciemnoszare z trupimi główkami na kołnierzu (nie mylić z formacjami SS mającymi podobne oznaczenia, ale na czapkach). Po okresie uciążliwych 6 tygodni ogólnego szkolenia zostałem oddelegowany w okolice Hanoweru, gdzie był usytuowany ogromny poligon pancerny z przylegającymi do niego zakładami produkcyjno-naprawczymi. Szkolenie przebiegało dwutorowo - przed południem w terenie, a po południu w warsztatach, gdzie poprzez zajęcia remontowo-naprawcze odbywało się jednocześnie szkolenie. Pobyt na poligonie, ze względu na specyficzny charakter, był interesujący, poza tym spotkałem tam dwóch Ślązaków z Wodzisławia i nareszcie mogłem sobie pogadać po śląsku. Po dwóch miesiącach szkoleń zostałem skierowany do ogromnych zakładów produkujących pancerne wozy bojowe - do działu zajmującego się układami hamulcowymi czołgów typu Pantera. Praca w tych zakładach bardzo mi się podobała, natomiast skład etniczny robotników, to już była prawdziwa wieża Babel. Można było spotkać przedstawicieli niemal wszystkich nacji europejskich. Mój pobyt w Hanowerze prawie codzienne „urozmaicały" alianckie naloty, w tym i dywanowe, w trakcie których niebo za dnia pstrzyły wybuchy z flaków (dział przeciwlotniczych), a nocą było rysowane wstęgami reflektorów. Podczas jednego z takich nalotów byłem akurat na obiedzie i kiedy wyszedłem z podziemnej stołówki, nie wiedziałem, gdzie jestem. W ciągu paru godzin cała ulica zmieniła się w morze gruzu.

Jednostka w Prusach Wschodnich

Na początku stycznia 1945 r. otrzymałem rozkaz stawienia się w jednostce macierzystej w Prusach Wschodnich. Taki rozkaz był równoznaczny ze skierowaniem na front wschodni, co nie napawało optymizmem, szczególnie w czasie, gdy ofensywa sowiecka nabierała niszczącego rozpędu, a nasze wojska przechodziły do kontrolowanego odwrotu. Swoją podróż do Prus Wschodnich odbywałem pociągiem cywilnym z przesiadką w Berlinie, gdzie w poczekalni zarezerwowanej tylko dla żołnierzy spotkałem sporą grupę Ślązaków, którzy podobnie jak ja, starali się dotrzeć do swoich jednostek. Przemieszczanie się pociągiem w tych rejonach Niemiec było w miarę bezpieczne, ale wydłużone w czasie, gdyż tory były zawalone transportami z uchodźcami i rannymi zmierzającymi na zachód. Na wschód pędziły zaś transporty pełne wojska i zaopatrzenia. Wszyscy chcieli dojechać przed czasem i wszystkim się śpieszyło, co w sumie stwarzało zatory. Dojeżdżając do Prus musieliśmy parę godzin stać na bocznicy, przepuszczając transport z jakąś jednostką Waffen SS, co wróżyło kiepską sytuację na froncie, gdyż te formacje były traktowane jak „straż pożarna" i kierowane na najbardziej zagrożone odcinki. Gdy już dotarłem do miejsca przeznaczenia, okazało się, że miasteczko, w którym jeszcze pół roku temu tętniło życie, jest zupełnie wyludnione. W koszarach trwał gorączkowy ruch. Wszystko pakowano i wynoszono, ładując w pośpiechu na ciężarówki. Jeszcze tego samego dnia wieczorem rozpoczęliśmy szybkie wycofywanie się w kierunku zachodnim, gdyż według docierających informacji, Armia Czerwona mogła nam w każdej chwili odciąć drogę odwrotu. Nasza wędrówka odbywała się w bardzo niesprzyjających warunkach - z mrozem i śnieżną zadymką w tle. Dobrze, że przynajmniej nasze samochody, pomimo maksymalnego eksploatowania, działały bez zarzutu. Na krótko przed dotarciem do Braniewa, które miało być punktem docelowym, dokooptowano do naszej kolumny grupę samochodów z rannymi, których mieliśmy osłaniać. W Braniewie, gdzie - jak większości miast pruskich - nie było żywej duszy, nasze samochody zostały oddelegowane do innych zadań, a my rozpoczęliśmy marsz w kierunku Fromborka drogą z nawierzchnią przypominającą kryształ. Po drodze mijaliśmy tereny z zupełnie bezludnymi wsiami, z których dobiegał żałosny ryk bydła, które od paru dni nieoporządzane i pozbawione pokarmu, powoli zdychało. Przed samym Fromborkiem zajęliśmy stanowiska w opuszczonych okopach, oczekując wroga, który nie dał długo na siebie czekać, wychodząc rozrzedzoną tyraliera z okolicznego lasu. Serie z naszych MG-42 szybko ostudziły wolę walki Rosjan, którzy jak niespodziewanie się pojawili, tak samo niespodziewanie się wycofali. Była to prawdopodobnie grupa zwiadowcza, mająca za zadanie dokonać rozpoznania walką. Po tej potyczce było wiadomo, że lada moment spadnie na nas kolejne uderzenie - już lepiej przygotowane i niewykluczone, że wspomagane czołgami. W takiej sytuacji dalsze przebywanie na zajmowanych stanowiskach groziło samobójstwem. Aby uniknąć katastrofy, padł rozkaz „wycofywać się biegiem". Zauważyłem wtedy, że podczas tego szaleńczego biegu zaczynam zasypiać, tracąc powoli świadomość, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Nie wiem do dziś, jak to się stało, że znalazłem się w przydrożnej stodole z jednym tylko żołnierzem, który podobnie jak ja, powoli dochodził do siebie.

Był już dzień, a przed nami zamarznięty Zalew Wiślany, który należało jak najszybciej przejść, żeby uniknąć śmierci. Tereny przylegające do zalewu, jak i sam zalew, były wręcz zasłane mieniem pozostawionym przez mieszkańców Prus Wschodnich, jacy przybywali tu z całej prowincji wraz ze swoim dobytkiem, załadowanym na sanie, wozy lub bryczki. Tutaj musieli w większości go porzucić, zabierając jedynie podręczny bagaż, bo tylko na tyle im pozwolono, podczas załadunku na statki czy barki, które podpływały jak najbliżej brzegu, żeby ewakuować tych nieszczęsnych ludzi.

Aby jak najszybciej przebyć zalew, wsiedliśmy do opuszczonych sań, zaprzężonych w parę koni, z których jeden przy samym końcu podróży wpadł pod lód i tylko dzięki pomocy będących w pobliżu żołnierzy udało się nam szczęśliwie wyjść z tej przygody.

Po dwóch dniach pieszej wędrówki po mierzei dotarłem do Gdańska i od razu zgłosiłem się do punktu zbornego. Tam przydzielono mnie do pododdziału mającego skierowanie do Grudziądza, gdzie formowano tzw. Lekką Dywizję nr 5, która miała być moją ostatnią jednostką w tej wojnie. Nowa dywizja była tworzona i na bieżąco uzupełniana różnymi rozbitkami, którzy podobnie jak ja odpadli od swoich macierzystych jednostek. Podobnie było ze sprzętem, który ściągano z rozbitych i rozproszonych oddziałów, dzięki czemu zostaliśmy odpowiednio nasyceni uzbrojeniem. Było to niezbędne do nawiązania równorzędnej walki z nieprzyjacielem, który dosłownie szalał, dysponując nieograniczonymi możliwościami sprzętowymi. Dowódca, mając na uwadze mój staż remontowy, wytypował mnie do specjalnej grupy naprawczej, zajmującej się bieżącym usuwaniem awarii zaistniałych w wozach bojowych, będących naszą tarczą i pięścią żelazną, która nas skutecznie chroniła, a wrogów równie skutecznie gromiła. Zadanie, które mi przydzielono, tylko z pozoru mogło się wydawać bezpieczne. Rzeczywistość pola walki wielokrotnie

ciąg dalszy na str 7

cd ze str. 6

zmuszała nas do usuwania awarii pod ostrzałem, kiedy ryzykowało się nie mniej niż ci na pierwszej linii. Szlak bojowy rozpoczęliśmy w okolicach Grudziądza, przemieszczając się w kierunku północno-zachodnim, kierując się na Wolin. Posuwaliśmy się przez tereny jeszcze do niedawna gęsto zamieszkałe i mądrze zagospodarowane, jakby przed chwilą opuszczone. Wystarczyło wejść do jakiegoś domu, a na stole stał dzbanek z jeszcze ciepłą kawą. Nie będę ukrywał, że razem z moimi kolegami korzystaliśmy z tych domowych wiktuałów, do czego wręcz namawiała nas w jednym z majątków jego właścicielka, wskazując na piwnicę pełną wędlin i alkoholu. Mówiła: „Nie zostawiajcie tym wschodnim barbarzyńcom nic!". Nawet dziś, po latach, ciężko mi na duszy, gdy odtwarzam sobie obrazy z tego exodusu, podczas którego tłumy kobiet z dziećmi opuszczały swe rodzinne strony. Wędrując całymi dniami przy trzaskającym mrozie, znaczyły swój marsz zamarzniętymi na kość zwłokami. Jako wojsko mieliśmy ściśle określone zadania do wykonania, ale nowa sytuacja, jaka się wytworzyła, będąca związana z wycofującymi się cywilami, zmuszała nas do weryfikacji wcześniejszych zadań i włączania się w osłonę uchodźców przed Armią Czerwoną. Armią, której wyczyny wielokrotnie budziły grozę i ocierały się o zwyrodnienie, które determinowało nas do zdecydowanych zachowań w stosunku do sprawców tych czynów niegodnych żołnierzy.

Amerykańska niewola

Na Wolin dotarliśmy już prawie wiosną w bardzo uszczuplonym składzie, gdyż większość naszych czołgów została po drodze albo zniszczona, albo z powodu braku paliwa – porzucona. Pomimo że katastrofa była już wyczuwalna, zostaliśmy dozbrojeni m.in. w nowe działa szturmowe typu Marder i Wespe, a następnie skierowani na odsiecz Berlina. Ale widocznie nasze dowództwo musiało otrzymać inne rozkazy, bo Berlin zostawiliśmy innym, a my ruszyliśmy w kierunku rzeki Elba.

Nasze przemieszczanie się przez tereny Meklemburgii odbywało się bez znaczących przeszkód, co nie znaczy, że wróg o nas zapomniał. Co pewien czas pojawiały się sowieckie czołówki pancerne, ale kończyło się na wzajemnej obserwacji bez wchodzenia w kontakt bojowy. Woleli nas przepuszczać nie ryzykując starcia. Do końca wojny było już tylko parę dni, więc po co narażać swoje życie.

Rzekę Elbę przekroczyliśmy z całym sprzętem dosłownie parę dni przed zakończeniem wojny i od razu weszliśmy w kontakt, ale już nie bojowy, z amerykańską dywizją pancerną, której dowództwo przekazało nam informację, dokąd mamy się udać. Miejscem tym było nieduże miasto, ale z dużym placem, na którym nam oznajmiono, że jesteśmy jeńcami. Następnym etapem w naszym nowym, jenieckim wcieleniu było odkażanie, a potem już błąkanie się po różnych obozach, wielokrotnie o chłodzie i głodzie. Kiedyś przez parę dni nas nie karmiono, a potem niespodziewanie przywieziono ciężarówki pełne czekolad. Ale myślę, że wszystkim tym, którzy byli alianckimi jeńcami, milsza była ta poniewierka niż katorga na Syberii. Ostatnim etapem mojej jenieckiej odysei był duży lager z ostrym reżimem wojskowym, gdzie nas podzielono wg narodowości. Wraz z dwoma tysiącami innych jeńców zostałem zaliczony do Ślązaków. Tam poznałem kolegę z Leszczyn, który nazywał się Nowak i był nauczycielem. Z tego, co się później dowiedziałem, został dyrektorem szkoły zawodowej przy Kopalni Dębieńsko.

W marcu 1946 r. ubrano nas w angielskie znakowane mundury i oznajmiono, że będziemy zwolnieni z niewoli, a następnie przewiezieni statkiem do Polski. Po zejściu na ląd w Gdańsku od razu zamknięto nas na parę dni w obozie filtracyjnym. Do domu wróciłem w kwietniu 1946 r.

Historia

Vinzenz Priessnitz



JAN KOŁODZIEJ

Trudno wyobrazić sobie mieszkanie, w którym nie byłaby zainstalowana kabina prysznicowa. Oczywiście nie wynalazł jej żaden Prysznicow, jak to często słyszymy w dowcipach. To po prostu obudowane urządzenie do dozowania wody, służącej do mycia i pielęgnacji ciała, wykorzystujące zasadę upowszechnioną przez pewnego Ślązaka.

Franz Priessnitz i jego żona Theresia byli gospodarzami na roli w miejscowości Lázně Jeseník na Śląsku austriackim (dziś Czechy). Po pięciorgu dzieci, 4 października 1799 na świat przyszedł kolejny chłopiec, któremu nadali imię Vincenz. Życia nie mieli łatwego. Choroby dotkliwie dotykały wówczas wiele rodzin, tak też było u Priessnitzów. Najstarszy syn zmarł, na domiar złego ojciec rodziny stracił wzrok. Dla Vincenza oznaczało to konieczność przerwania dopiero co rozpoczętej nauki w szkole. Po prostu musiał zająć się pracą w gospodarstwie. Nie zdążył biedak nauczyć się czytania i pisania, czego nie nadrobił nigdy. Nie ma co owijać w bawełnę: był po prostu analfabetą. Ale to było jego poświęcenie dla dobra rodziny, która w austriackim państwie lekko nie miała. Miał ledwie 17 lat, kiedy pracując spadł z konia, łamiąc sobie nie tylko dwa żebra, ale bez lekarskiej pomocy nabawiając się powikłań w postaci chorób organów wewnętrznych. Wtedy to postanowił spróbować samoleczenia. Na obolałe miejsca położył sobie solidnie nasączony zimną wodą opatrunek, obandażowując się ciasno pasami tkaniny. Zdrowie wróciło bardzo szybko, żebra się zrosły, a zastosowaną metodę nazwano później „opatrunkiem Priessnitza". Od tego momentu zaczęli do niego przychodzić po pomoc chorzy sąsiedzi. Niezmiennie w leczeniu stosował wodę, zatem zaczęto go nazywać wodnym lekarzem.

Ożenił się z Zofią, córką wójta sąsiedniej wsi Česka Ves. Razem dochowali się syna i sześciu córek. Wieści o jego metodach leczenia rozchodziły się coraz dalej, zaczęli przyjeżdżać do niego ludzie z miast coraz bardziej odległych. Dlatego w latach 1826-1829 dla nich zbudował kuracyjny dom z łaźnią.

Podobnie, jak było to w przypadku Rafała Wilczura, bohatera powieści i filmu pod tytułem „Znachor", zazdrośni o sukcesy lekarze oskarżyli Priessnitza o uprawianie znachorstwa. A może to właśnie on był pierwowzorem prof. Wilczura? W każdym razie sąd go uniewinnił: nasz bohater stosował bowiem wyłącznie wodę, stroniąc od jakichkolwiek ziół czy lekarstw. Wyrok sądu dopomógł w uzyskaniu oficjalnego pozwolenia austriackich władz (1830) na prowadzenie wodolecznictwa w zakładzie kuracyjnym. W dwa lata później musiał już zakład rozbudować dla potrzeb ponad stu pacjentów. Dobre wyniki leczenia były najlepszą wizytówką do tego stopnia, że w roku 1846 cesarz Austrii przyznał mu Złoty Medal Zasługi.

Priessnitz ciągle swoje metody udoskonalał i wprowadzał nowe. Jak niewielu ówczesnych naukowców, testował je wszystkie najpierw na sobie.



Foto: Wikipedia

Vinzenz Priessnitz

Prawdopodobnie to doprowadziło do tego, że w roku 1848 doznał udaru mózgu. Dalsze badania wykazały u niego zmniejszenie wątroby oraz objawy przewodnienia całego organizmu. Ostatecznie 28 listopada 1851 roku zmarł, zostawiając po sobie majątek w wysokości 10 milionów guldenów. Z powodu małoletniości syna, zakład uzdrowiskowy przeszedł w ręce jednego z zięciów. Tylko do chwili śmierci Vincenza, przez istniejący do dnia dzisiejszego zakład przewinęło się 36 tysięcy kuracjuszy.

W Instytucie historii medycyny Uniwersytetu Wiedeńskiego znajduje się zbiór notatek, opatrzony tytułem „Vinzenz Prießnitz'sche Familien Wasserbuch", spisanych przez jego córkę Jadwigę, notującą wskazówki ojca. Ten za rozwój różnych chorób wewnętrznych czynił odpowiedzialnymi „złe soki", które należy usuwać z pomocą wody. Szczególnie modne dzisiaj są te z jego wskazówek, które nakazują stosowanie opartych na piciu wody diet, spożywaniu mleka i potraw bez przyprawy, ale też korzystaniu ze spacerów i ćwiczeń fizycznych. To jego metoda hartowania ciała w strumieniu spadającej z wysokości zimnej wody przysporzyła mu miano wynalazcy prysznica.

Najlepszym pomnikiem dla Vincenta Priessnitza jest gęsta sieć zakładów uzdrowiskowych północnych Czech i Słowacji, stosujących jego metody. Jego dokonania upamiętniono też w samej stolicy dawnego Cesarstwa – wzorem miejscowości rodzinnej, w parku Türkenschanzpark postawiono mu pomnik. Zaś na pomniku greckiej bogini zdrowia Hygiei, ufundowanym w roku 1841 w Poznaniu przez hrabiego Edwarda Raczyńskiego, umieszczono poświęconą Priessnitzowi inskrypcję.

Pomimo tego, że metody Vincenta Priessnitza były rozwinięciem i udoskonaleniem metod stosowanych już wcześniej, ten śląski analfabeta jest uważany za ojca współczesnych nam balneologii i hydroterapii.

Opinie

Nie ma wolności bez tożsamości



MONIKA KASSNER

Jako że premier Donald Tusk poczuwa się do bycia Kaszubem, podczas ostatniej wizyty w Kanadzie, nie omieszkał odwiedzić kaszubskiej miejscowości o przewrotnej nazwie Wilno, której mieszkańcy pielęgnują tradycje swoich przodków - emigrantów. Historia nazwy tej wioski to temat na odrębny artykuł. W przemowie do mieszkańców rozpromieniony premier stwierdził, iż największą wartością dla człowieka jest zachowanie i pielęgnowanie własnej tożsamości. Ciekawe, dlaczego po powrocie tego samego nie powiedział tym 809 tysiącom Ślązaków - chciałoby się powiedzieć – myślącym tak samo jak on. Ale w Polsce takie deklaracje są interpretowane inaczej. Polską diasporę, tzw. Polonię, hołubi się w każdym miejscu na ziemi – w Stanach Zjednoczonych, na Litwie, Białorusi, w Niemczech i Bóg wie jeszcze gdzie. Jeśli chodzi jednak o roszczenia innych grup narodowych czy etnicznych na terenach administracyjnie polskich, sprawa wygląda już zupełnie inaczej. Mimo że w spisie powszechnym 2011 r. Ślązacy okazali się największą mniejszością w kraju, rząd zdaje się tego faktu nie dostrzegać, bo nikomu nie przychodzi do głowy, że u progu XXI wieku może tworzyć się jakakolwiek grupa etniczna czy narodowościowa. Ja jednak nie powiedziałabym, że jako grupa etniczna Ślązacy się dopiero tworzą. Raczej się budzą, rodzą na nowo. O takim stanie rzeczy zdecydowała m. in. polityka gospodarcza państwa polskiego po 1989 r. Śląska młodzież, która kształciła się na wyższych uczelniach, nie tylko śląskich w latach 90-tych, dziś zaczyna tworzyć śląskie elity. Szerokie elity, których w swej historii Górny Śląsk jeszcze nie posiadał, nawet za czasów autonomii. W czasach międzywojennych rząd polski zadbał, aby na Górnym Śląsku nie było żadnej wyższej uczelni, żeby broń Boże zbyt dużo Ślązaków nie mogło pozwolić sobie na ponoszenie kosztów nauki w odległych miastach. Wiemy jednak, że jest to tylko jeden z zabiegów utrudniających autochtonom osiąganie kolejnych szczebli kariery i awansu społecznego. W końcu lat 90-tych, gdy zbliżało się największe bezrobocie, śląska młodzież z tzw. wyżu lat 70-tych powszechnie się kształciła, bo pracy dla niej nie było. Dziś ta młodzież świadoma swojej przynależności i tożsamości, która definiuje się jako Ślązacy, zaczyna zasilać regionalne elity. Elity, które umiejętnie podsycają swoisty boom na śląskość. I jak blado na tle ich działalności wypadają twierdzenia profesora Rungego, który trzymając się kurczowo 7 zasad, według których tworzą się narody, argumentuje, że nie ma narodu śląskiego, ponieważ ten nie spełnia żadnej z wytyczonych naukowo reguł. Tylko gdyby zasady, tak zacielkie bronione przez profesora, zastosować do każdego istniejącego dziś w Europie narodu, mogłoby się okazać, że przynajmniej kilka a może kilkanaście z nich nie ma prawa bytu, ponieważ albo nie są jednolite historycznie lub językowo, albo religijnie. Podobnie jak Ślązacy, którym na szczeblu państwowym odmawia się nawet etniczności. Wracając do kwestii elit, należy zgodzić się z Kazimierzem Kutzem, który stwierdził, że gdybyśmy w przeszłości mieli silne elity Górny Śląsk byłby państwem. Posiadając elity nie jesteśmy już bezwolni wobec polityki rządu. Ktoś mógłby zadać pytanie – to jak śląskość przetrwała bez elit procesy wynaradawiania - wpierw germanizację, później polonizację? To przetrwanie zawdzięczamy właśnie plebejskiej kulturze i niezwykłej umiejętności dopasowania się do sytuacji społeczno – politycznej. Procesy migracyjne na Górnym Śląsku trwające z przerwami od średniowiecza, które dodawały świeżej krwi do autochtonicznej społeczności i tkwienie w kulturze plebejskiej powodowały z drugiej strony, że Ślązacy funkcjonowali w swoistym matecznik wlasnych rytuałów, tradycji, języka i ziemi. Ziemi, na której mimo szeroko zakrojonych powojennych akcji wysiedleńczych, śląskość przetrwała, odradzając się dziś jak feniks z popiołów. Mówią o nas mieszańcy – ani Polacy, ani Niemcy, ani Czesi. Kocioł, do którego okresowo dorzucano dostawę świeżego mięsa z różnych stron Europy. Z tej mieszanki narodowościowej powstała jednak nowa jakość – Ślązacy – dumni z własnej tożsamości. I ta duma jest ich rodowodem – najlepszym z możliwych. I co z tego, że niektórzy nadal twierdzą, że jesteśmy „zakamuflowaną opcją niemiecką" lub rozmytymi Polakami. My wiemy jedno – jak powiedział Kazimierz Kutz – nie ma wolności bez tożsamości!



Marsz w Rybniku 24 września 2011 r

Laik o ekonomii



Demokracja się nie sprawdza?

Co ma demokracja do ekonomii ? Ano ma – i to bardzo wiele, a jest tak od momentu, kiedy państwa demokratyczne zaczęły uzurpować sobie prawo do ręcznego sterowania gospodarką przy jednoczesnym zachowaniu wszelkich ludowładczych procedur. Ponieważ zaś każdy demokratyczny reżim postępuje tak od chwili, gdy się go ustanowi, możemy powiedzieć, że ekonomia jest z demokracją nierozerwalnie złączona.

„Praw fizyki pan nie zmienisz i nie bądź pan kiep" - mówił Jan Kobuszewski w niezapomnianym skeczu. Niestety prawa ekonomiczne nie są tak oczywiste jak prawa fizyki (np. przyciąganie ziemskie, którego siły chyba każdy z nas doświadczył, spadając chociażby z roweru lub najzwyczajniej w świecie idąc chodnikiem), ale - niestety (albo na szczęście) - działają równie bezwzględnie i nie uchyli się przed nimi nikt. Nawet minister finansów, który, świadom nieuchronności następstw, jakie niesie z sobą prowadzona przez Rzeczpospolitą polityka przymusowych ubezpieczeń społecznych, odmówił Polakom referendum, mimo że – podobno - u podstawy naszego państwa leży zasada „demokracja ponad wszystko".

Jak powiedział kiedyś słynny francuski filozof, politolog i historyk Alexis de Tocqueville, „Nawet najbardziej łagodny i liberalny rząd nie cofnie się przed żadną niegodziwością, gdy zabraknie mu pieniędzy". Święte słowa, choć ja ze swej strony dodałbym: nie cofnie się przed niczym, co pozwoli mu nie spłacać zobowiązań wobec najsłabszych - bo wobec nich nie trzeba dotrzymywać danego słowa.

Przez cały XX wiek niszczono prawdziwe znaczenie słów- i tak np. sprawiedliwość zastąpiono „sprawiedliwością społeczną", demokrację - „demokracją socjalistyczną", prawdę - „prawdą ekranu i mass mediów", złodziej, hochsztapler i pieniacz zyskał zaś miano „polityka". Przez ostatnie dziesięciolecia żyjemy w dramatycznym konflikcie między słowami a ich prawdziwym znaczeniem. Nie ma się co dziwić, że weszło nam to w krew i zaczęliśmy wierzyć, iż tak musi być. Cóż: dajemy się nabrać na fałszywy język.

Tłumnie chodzimy na wybory i głosujemy nie na polityków (polityka i etyka w starożytnej Grecji były wszak niemal tożsame, a tę pierwszą przyjęto nawet definiować jako „rozumną troskę o dobro wspólne"), lecz na zawodowych kłamców. Robimy tak na przekór największemu z największych Polaków, który swego czasu pouczył nas: „Każdy ustrój nieoparty o etykę, przeradza się w totalitaryzm". Być może nie uwolnimy się od terroru słów, które utraciły swe znaczenie ale wtedy nie możemy się nazywać chrześcijanami. Bo przecież to Chrystus powiedział „Mówcie <<tak, tak, nie, nie>> - a co więcej, od złego pochodzi".

Słowo to też dotrzymywanie słowa - tak w życiu prywatnym jak i publicznym. Na wielu sztandarach wypisujemy „honor", „ojczyzna" i inne tego typu słowa, nie rozumiejąc ich. Dziś za zachowanie demokratyczne uważa się... zablokowanie referendalnej inicjatywy obywatelskiej. Zdaję sobie sprawę z nieskuteczności prawnego sterowania ekonomią, jednak demokratyczna większość musi uczyć się na własnych błędach. Jeśli tego nie zrobi - trzeba będzie wyłączyć spod jurysdykcji ciał wybieralnych decyzje ekonomiczne. Jest to możliwe właśnie teraz, gdy pociąg historii rusza ze stacji Grecja i najprawdopodobniej rozjedzie całą Europę, nie omijając Polski.

Leon Swaczyna

Koło dziejów Kołodzieja



Dorwać się do koryta

W gronie 53 państw, w których znawcy tematu panujący ustrój zaliczają do demokracji ułomnej, na 18 miejscu znajduje się Polska. Za nami są już tylko – spośród członków UE - Bułgaria i Rumunia. Ułomność wynika z tego, że zbieranie i dystrybucja wypracowanych przez społeczeństwo dóbr podporządkowana jest jednak interesom wąskich grup oligarchów. Ci zaś wydają niemałe kwoty na utwierdzanie społeczeństwa w świadomości, że tak musi być, że to wyjście najlepsze, że robią to wyłącznie dla naszego dobra. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że robią to skutecznie. Społeczeństwo widzi swe marne położenie, na własnej skórze doświadcza efektów zubażających je „reform", w istocie spychających je do roli niewolnika. Ale wielu właśnie sądzi, że tak po prostu musi być, bezwolnie zgadzając się na taki stan rzeczy. Według definicji, w państwie demokratycznym społeczeństwo jest bezklasowe. W rzeczywistości nikt się nie zżyma, czytając o „klasie rządzącej". Niemal wszyscy mają przy tym pełną świadomość istnienia „koryta", jak zwykło się określać przynależność do takiej klasy. Bo w społecznym odczuciu daje to dostęp do lepszych zarobków, do przywilejów, do sprawowania władzy, do życia bez problemów dnia codziennego. Kiedy jakaś grupa ludzi zaczyna dostrzegać te ułomności demokracji i radykalnie wręcz głosić chęć wprowadzenia zmian, natychmiast do jej członków przykleja się łatki chcących jedynie „dorwać się do koryta", na czym żeruje sprawujący władzę beton. W Polsce trwa to od wielu lat, efekty są coraz bardziej opłakane. Dlaczego tak się dzieje? Trudno jest odpowiedzieć na to pytanie. Mamy moc wybierania swoich przedstawicieli do władz. Ale ordynacja wyborcza nasze prawa ogranicza, premiując „duże" partie. Te zaś są finansowane z naszych podatków, ich priorytetem jest zatem głównie utrzymanie owego finansowania. Dlatego niektórzy wyborcy nie chodzą nawet do urn, uważając to za bezcelowe. Jeszcze inni nie chodzą z lenistwa, bo przecież „ktoś tam zagłosuje". Zdarza się czasem, że wybór jest zgodny z wolą wyborców, ale już wyborcze obietnice idą w zapomnienie. Wielu dochodzi do wniosku, że tak to już musi być, że ktoś mądrzejszy chce jak najlepiej. W efekcie demokratyczna wola ludu pozostaje wyłącznie teorią, co spycha nasz kraj na dno wspomnianych na wstępie statystyk.

Jest jednak nadzieja na poprawę. Rośnie liczba ludzi coraz otwarciej głoszących swoje niezadowolenie. Coraz częściej zaczynają się nawet jednoczyć, organizując referenda, albo domagając się ich organizowania. Naturalne, że sprawujący ułomnie władzę mają swoich poplecznik ów, dysponują mediami, próbują różnymi metodami ludzi tych straszyć i ośmieszać. Na przykład w Rudzie Śląskiej kilkanaście tysięcy ludzi podpisało wniosek o referendum – jedną z odpowiedzi było pojawienie się (niby) Społecznego Komitetu Obrony Prezydenta, który postawił sobie za cel obronę „demokratycznie wybranej Prezydent". Przed czym? Ano, przed skutkami demokratycznego przecież referendum. Setki tysięcy podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie podniesienia wieku emerytalnego także nic nie znaczą. Władza przecież wie lepiej, a głos ludu tylko by przeszkadzał. Jeszcze bardziej umacnia to w wyborcach szkodliwą świadomość istnienia owego koryta. Niestety – skutkiem tego jest wyrzucenie poza margines ludzi nieraz wartościowych, posiadających dobre zamiary realizacji zamierzeń, przynoszących prawdziwe korzyści społeczeństwu.

Taki stan trwa w Polsce nieprzerwanie od roku 1945. Początkowo udział w głosowaniach był w pewnym sensie obowiązkowym. Od 20 lat jest to naszym prawem, z którego nie potrafimy dobrze korzystać. Niska frekwencja wyborcza oznacza dwie rzeczy: albo dowodzi całkowitego braku zainteresowania demokracją w skołowanym społeczeństwie (to porażka działań kolejnych rządów), albo jest efektem zastraszania i prowadzenia polityki antydemokratycznej (sukces bezprawnych działań zakulisowych).

Szóstego maja 1945 naprędce sklecone gremium ogłosiło Ustawę Konstytucyjną o zniesieniu statutu organicznego województwa śląskiego. Dwa główne punkty traktowały o likwidacji autonomii i przejęciu Skarbu Śląskiego, czyli potężnego wkładu do koryta. Wielu już wówczas uznało, że ten akt prawny musi być dobrym, bo przecież ogłosiła go władza. Pal sześć, że nikt jej nie wybierał, że w sumie jej legalność trudno uznać za fakt. O ile jednak sprawców tragedii górnośląskiej dziś uznaje się za mityczny, pozbawionych narodowości komunistów, to likwidatorom autonomii zapala się znicze na Powązkach. A przecież to ci sami ludzie, według nomenklatury przeciwników prawdziwej demokracji budujący tylko swoje koryto.

Prawdziwa demokracja powinna dążyć do zapewnienia pełnej równości wszystkim obywatelom. Skoro udział społeczeństwa w realnym sprawowaniu władzy jest postrzegany wyłącznie w kategoriach koryta, chyba najwyższy czas to zmienić. Bo wypracowane środki powinny zabezpieczać przede wszystkim realizację życiowych potrzeb mieszkańców regionów, a nie stanowić wkład do tytułowego koryta. A to zapewnić może nie tyle decentralizacja samej władzy, ale przede wszystkim właśnie wpływów podatkowych. Warunkiem koniecznym tej zmiany jest pełna autonomia regionów. Niestety – likwidacja dużego koryta dla wielu oznaczałaby po prostu brak pożywki, na co pozwolić sobie nie mogą. Wolą zatem utrzymywać wśród społeczeństwa wizję swojej wyłączności na sprawowanie władzy.

Jan Kołodziej

Babskim okiem



O tym jak Bielszczanie obrazili się na Ślązaków...

Od ukazania się w Gazecie Wyborczej wywiadu Ewy Furtak z Januszem Okrzesikiem pt: „Nie dajmy się zapędzić RAŚ na górnośląskie podwórko" nie mogę przestać zastanawiać się, o co jest cała afera. Pod Teatr Polski w Bielsku–Białej regularnie przyjeżdża policja lub straż miejska, które pilnują w trakcie spektakli na wypadek ewentualnych ataków antysemitów... przepraszam, antyślązaków. Jeszcze tak nie mieliśmy - pisze na swoim blogu dramatopisarz Artur Pałyga. Zacznę więc od początku, 31 marca br. w Teatrze Polskim w Bielsku Białej ma miejsce premiera nowej sztuki Ingmara Villqista „Miłość w Koenigshutte". O tej produkcji głośno było jeszcze przed premierą, a miejsce wystawianej sztuki - nie wiedzieć dlaczego - wzbudziło wiele kontrowersji. Miasto, jak każde inne, okazuje się być jednak mało otwarte. - Do wystawienia adaptacji scenicznej mojego scenariusza zaprosił mnie do Teatru Polskiego dyrektor Robert Talarczyk. Jakiś czas temu dałem do przeczytania Robertowi Talarczykowi ten scenariusz i stąd to zaproszenie do Bielska. Akcja tej sztuki dzieje się wokół obozu koncentracyjnego w Świętochłowicach Zgodzie. Ten fragment Tragedii Górnośląskiej będziemy opowiadać wraz z aktorami teatru Polskiego w Bielsku-Białej. Na „obcym" terenie. I może to lepiej dla spektaklu, bo to co na Śląsku byłoby odbierane wprost, tam w Bielsku trzeba opowiedzieć tak, by ta historia trafiła do każdego widza, niezależnie od proweniencji narodowościowej, jednostkowych i zbiorowych doświadczeń historycznych - tłumaczył reżyser spektaklu Jarosław Świerszcz występujący pod pseudonimem artystycznym jako Ingmar Villqist. Na debacie w Teatrze Polskim dodał - Dlaczego spektakl jest w Bielsku-Białej? Gdyby Pan dyrektor Talarczyk był dyrektorem teatru w Szczecinie czy Olsztynie, gdziekolwiek, to przedstawienie byłoby tam wystawiane. Jak informuje nas „Dziennik Zachodni", pięć dni później na obradach bielskich radnych w oficjalnym wystąpieniu poseł PiS Stanisław Pięta zasugerował odwołanie z funkcji dyrektora Teatru Polskiego w Bielsku-Białej Roberta Talarczyka za… „antypolskie spektakle". Jak sam przyznaje, spektaklu nie oglądał, ale czytał „wiarygodne recenzje". Prezydent Bielska-Białej poprosił Talarczyka o wyjaśnienia. Chce wiedzieć, dlaczego spektakl Ingmara Vilqista wystawiono w Bielsku-Białej, skoro dotyczy Śląska. - Tak samo można powiedzieć, po co wystawiać „Wesele", skoro rzecz dotyczy wioski w Małopolsce? - tłumaczył Robert Talarczyk. W sztuce „Miłość w Konigshutte", którą osobiście widziałam dwa razy, nie dopatrzyłam się żadnych gestów kierowanych w stronę bielszczan, nawołujących do zmiany ich tożsamości. - Artysta ma prawo do swojej wizji i można się z nią zgadzać bądź nie - mówił Robert Talarczyk 19 kwietnia podczas debaty w Teatrze Polskim. Jeżeli ktoś uważa niebiesko-żółte opaski, jakie założyli aktorzy i reżyser na koniec spektaklu, a które mogłyby świadczyć o geście politycznym kierowanym w stronę RAŚ, za argument na korzyść zarzutów posła Pięty, z pewnością powinien znacznie pogłębić swoją wiedzę, by znaleźć prawidłową odpowiedź. To regionalne barwy flagi województwa śląskiego. Janusz Okrzesik w wywiadzie dla Gazety Wyborczej mówi: „ Mamy prawo do poczucia odrębności. Podbeskidzie to nie jest Górny Śląsk. To mieszanka różnych kultur i tradycji". Sto pięćdziesiąt osiem komentarzy i poczucie bielszczan, że RAŚ chce odebrać komukolwiek narodowość, z jaką się utożsamia, to zwykła manipulacja. W rezultacie na blogu Artura Pałygi czytamy: - Ja pochodzę z Bielska i moja rodzina pochodzi z Bielską. Jesteśmy Ślązakami. Ja jestem Ślązakiem. Przyjaciel do Pałygi - Znam cię od dwudziestu lat i nigdy tego nie mówiłeś. - Bo by mnie wszyscy zakrzyczeli. Napadliby na mnie. Wolę nie mówić. Ale ja jestem Ślązakiem. Zostawiając bielszczan z tą anegdotą, namawiam do przemyśleń, przypomnienia sobie lekcji tolerancji i znaczenia pojęcia słowa sztuka. Głodnych stanowiska RAŚ w tej sprawie odsyłam do lektury: „Nie jesteśmy narzędziem katowickiej inwazji" Grzegorza Szczepańskiego, przewodniczącego RAŚ na Śląsku Cieszyńskim.

Aleksandra Smolak

Leszczyny - Relacja

Konfederaci w Leszczynach

W ostatnią sobotę kwietnia, przy pięknej słonecznej pogodzie, w parku leszczyńskim z pałacykiem w tle, odbyła się nietypowa inscenizacja z udziałem grupy pasjonatów z Krakowa, odtwarzających w najdrobniejszych detalach wyposażenie żołnierzy 14 pułku piechoty z Luizjany z okresu amerykańskiej wojny secesyjnej. Impreza odbyła się z inicjatywy koła RAŚ Czerwionka-Leszczyny.

Po prezentacji uzbrojenia, wyposażenia oraz pokazie musztry, rozpoczęła się ta najbardziej oczekiwana część spotkania, czyli strzelanie.

Na początek „konfederaci" oddali salwę, żeby nas cywili przyzwyczaić do huku i dymu, gdyż używano oryginalnego czarnego prochu strzelniczego, który jest głośny i dymi niemiłosiernie. Dopiero potem zajęli się nami, mozolnie ćwicząc z każdym zainteresowanym poszczególne chwyty umożliwiające oddanie strzału. Kanonada musiała się rozpocząć po całych Leszczynach, skoro zjawiła się nawet policja, ale szybko się okazało, że nie po to żeby kogoś strofować, ale pocwiczyć strzelanie z enfildów i springfildów. Cała impreza zakończyła się, gdy zabrakło amunicji. Dopiero wtedy okazało się, że wszyscy są umorusani prochem i wyglądają jak górnicy.



Foto M.A. Gołosz

Foto M. Kulik

Marian Kulik

Unionista z RAŚ

Pszczyna - Relacja

Na rowerze. Nie, na kole!

„Na rowerze. Nie, na kole!" - to słowa najstarszego uczestnika rajdu „Na kole bez pole", gdy spytałem go, czy z Tychów do Pszczyny też przyjechał na rowerze. 84-letni Ewald zjeździł rowerem całą Europę, fragmenty Afryki i Azji. Jak sam mówi, nie spodziewał się tak ciekawej trasy. Uczestnicy jechali z pszczyńskiego Rynku koło pałacu Anhaltów, tzw. dzikim parkiem i dalej polnymi drogami wokół zbiornika zapory Łąka. Piękne widoki zapewniły kwitnące pola rzepaku, kontrastujące z wodą i błękitem nieba – pogoda wyjątkowo dopisała. Dopisali też uczestnicy – na starcie było ich ponad 300, a po drodze dołączały się grupki pytających - Co to za rajd? - Możemy jechać z wami? Frekwencja przerosła najśmielsze oczekiwania organizatorów, czyli pszczyńskie koło RAŚ. – Spodziewaliśmy się kilkudziesięciu, maksymalnie 100-120 uczestników – mówił Dariusz Skrobol – burmistrz Pszczyny, który objął rajd swoim patronatem. Po rajdzie wręczył też puchary dla najstarszego i najmłodszego uczestnika rajdu. Najmłodszym okazał się dwuletni Wiktor, który trasę przejechał na siodełku roweru taty. Pierwszy rajd „Na kole bez pole" zakończył się grillem w kole łowieckim Cyranka. Kolejny – inną trasą - za rok.



Foto: Z. Spyra

Najmłodszy uczestnik rajdu odbiera puchar

Zdzisław Spyra

Siemianowice - Relacja

O historii w Siemianowicach

16 kwietnia br. w siemianowickim Domu Technika „Zameczek" odbyła się projekcja filmu „Dzieci Wehrmachtu" połączona z wykładem jego twórcy Alojzego Lyski, byłego posła, radnego sejmiku wojewódzkiego, działacza społecznego, nauczyciela, autora wielu książek dotyczących historii naszego regionu. Film pokazał przejmującą historię syna usiłującego odnaleźć prawdę o ojcu - żołnierzu Wehrmachtu zaginionym w czasie II wojny światowej na ukraińskich stepach. Widzowie mogli śledzić krok po kroku jak Alojzy Lysko rozwiązuje kolejne tajemnice losów ojca, ukazując tym samym, czym była służba tysięcy Górnoślązaków w niemieckiej armii w okresie wojennym. Zaraz potem zaproszony gość wygłosił uzupełniający wykład, w którym podkreślił konieczność pielęgnowania pamięci po naszych przodkach walczących w armii III Rzeszy. Przy okazji zaprezentował wydany niedawno czwarty tom swojego cyklu „Duchy wojny" - powieści napisanej na podstawie listów, które pochodzący ze Śląska żołnierze Wehrmachtu przesyłali do swoich rodzin. Wspomniał, że pielęgnowanie pamięci po ojcu wielokrotnie powodowało jego (syna) wyszydzanie oraz publiczne wytykanie. Stwierdził także, że o trudnej historii należy mówić, gdyż jest ona niezbędna do zrozumienia teraźniejszości.

Radosław Marczyński

Wodzisław - Zapowiedź

Maraton pod patronatem RAŚ

W dniach 16-17.06.2012 zapraszamy do Radliną (powiat wodzisławski) na III Śląski Maraton Rowerowy. Cele maratonu to m. in. propagowanie zdrowego trybu życia, aktywnego wypoczynku, prezentacja walorów krajoznawczych ziemi śląskiej, zarówno tych związanych z przemysłem jak i turystycznych. Udział w maratonie jest ogólnodostępny. Maraton przeznaczony jest dla amatorów turystyki rowerowej o dobrym przygotowaniu kondycyjnym. Warunkiem dopuszczenia do maratonu jest ukończenie 18 roku życia. Trasa wieść będzie z Radlina przez Wodzisław Śląski, Jastrzębie-Zdrój, Pawłowice, Skoczów, Ustroń aż do Wisły.

Maraton odbywać się będzie na następujących dystansach:

MARATON - 150 km limit czasowy - 8 h

SUPER MARATON - 300 km limit czasowy - 16 h

GIGA MARATON - 450 km limit czasowy - 24 h

BICIE REKORDU SOKOŁA - 550 km limit czasowy - 24 h

Terminarz imprezy:

15 .06.2012 piątek

Godz. 16.00-20.00 - rejestracja zawodników w biurze maratonu

Godz. 20.00 - odprawa techniczna i omówienie trasy maratonu.

16 .06.2012 sobota

Godz. 6.00-7.30 rejestracja zawodników w biurze maratonu.

Godz. 7.45 uroczyste otwarcie maratonu i pamiątkowe zdjecie.

Godz. 8.00-9.00 start zawodników

17.06.2012 niedziela

Godz. 9.00 zakończenie maratonu

Godz. 11.00 Radlin uroczyste zamknięcie maratonu, wręczenie nagród, pamiątkowych certyfikatów (MOK – Dom Kultury)

Organizatorem imprezy jest K.T.K Sokół Radlin. Imprezę patronatem objęło koło RAŚ Wodzisław Śląski.

Katowice - Zapowiedź

Kody kultury

Centrum Kultury Katowice zaprasza na kolejne spotkanie z cyklu „Kody Kultury", które odbędzie się 13 czerwca w Teatrze Korez o godz. 18.00. Podczas spotkania zaprezentowane zostaną innowacyjne projekty rodzimych artystów wykonane i wdrożone do produkcji. Uczestnicy zobaczą także dzieła, które stały się karykaturami dobrego wzornictwa. Odpowiemy na pytanie czy istnieje dobry dizajn regionalny. Spotkanie poprowadzi Aleksandra Gorzelik, a jej gośćmi będą:

Ewa Gołębiowska: twórczyni i dyrektorka Zamku Cieszyn- jedynego w Polsce centrum dizajnu. Entuzjastka i promotor śląskiego wzornictwa i tradycyjnego lokalnego rzemiosła;

Dr hab. Irma Kozina: historyk sztuki w Zakładzie Historii Sztuki UŚ w Katowicach, autorka wielu publikacji na temat architektury XIX i XX wieku. Oprócz działalności naukowej ods lat angażuje się w akcje ratowania zabytków Katowic

Mysłowice - Zapowiedź

II Marsz Gōrnoślōnskij Tożsamości

Ślōnskō Ferajna zaprōszō 02 czyrwca 2012 roka o godzinie 14.00 na II Marsz GōrnoślōnskijTożsamości

Nasze postulaty:

1. uwożany Gōrnoślōnzōkōw za miyńszość etnicznō
2. uwożany ślōnskij nacyje
3. uwożany ślōnskij gōdki za oufyn hajmatowo gōdka
4. wkludzyniy we szulach grōntowych a gimnazyjumach hajmatowyj edukacyje
5. wkludzyniy ślōnskij symboliki (ślōnskō fana a ślōnski wapyn) – wele polskij – we amtach oufyn a samoreskirunkuwygo ferwaltōnga na Gōrnym Ślōnsku i dwugōdkowych mianōw miyjscowościōw
6. zrychtowaniy autonomicznygo regiōnu co bydzie zgodne ze spōłczesnymi koncepcyjami jednoście europejskij, sztrajchujōncymi jedność przi równoczesnym uchowaniu usobnoście hajmatōw a spōlnotōw

Eli sie czujesz Gōrnoślōnzōkiym, to pōdź z nami na MARSZ. Trefiomy sie 02 czyrwca 2012 roku we Mysłowicach-Słupnyj, ul. Stadionowō.

Nōsz sztichwort: Ślōnzōk przaje ino swoji fanie, wapyn adlera mōmy, po naszymu sie szkryflōmy.

Z regionu

„Dziki" kapitalizm?



NORBERT SLENZOK

W ostatnim numerze „Jaskółki" opublikowany został artykuł p. Krzysztofa Łazikiewicza, zatytułowany „Strajk i zwolnienia grupowe w Hucie Batory". Sam fakt relacjonowania tych wydarzeń na łamach organu prasowego Ruchu Autonomii Śląska nie może budzić zdziwienia – dotykają one wszak podstaw materialnego bytu kilku setek Górnoślązaków, pracujących w dodatku na terenie miasta należącego do „najbardziej śląskich ze śląskich". Niemałą konsternację wywołała natomiast w piszącym te słowa jednostronność prowadzonej przez p. Łaziewicza narracji. Obraz, który się z niej wyłania, mieni się bowiem wyłącznie białym i czarnym kolorem: przedstawia heroiczną walkę dzielnych pracowników z kapitalistycznym krwiopijcą. Słowem – jak mówi sam Autor - „dziki kapitalizm". Szczęśliwie, RAŚ jest ugrupowaniem śląskich regionalistów, a nie – regionalnych socjalistów. Socjalny populizm, jakim przesiąknięty jest cały tekst p. Łazikiewicza, musi zatem spotkać się ze stosowną repliką.

Pierwszym rzeczą, która rzuca się w oczy podczas lektury omawianego artykułu, jest osobliwy stosunek jego autora do kwestii legalności prowadzonego przez pracowników na terenie Huty Batory strajku. Jak wiadomo, strajk ten był niezgodny z prawem. Mówiąc wprost: ludzie ci, chcąc zamanifestować swój sprzeciw wobec pogarszających się warunków pracy i zwolnień, przystąpili po prostu do okupacji prywatnej własności swojego chlebodawcy. Krzysztofowi Łazikiewiczowi to bynajmniej nie przeszkadza: jak powiada, była to przecież walka o „byt, godność i miejsca pracy", a więc to, że „protest przyjął jednak nielegalną formę", to „nic dziwnego". Ciekaw jestem, czy gdyby p. Łazikiewicz miał w domu gosposię, którą z jakiegoś powodu postanowiłby zwolnić, to czy także nie miałby nic przeciwko, by ta przy asyście mediów pookupowała sobie jego salon w obronie „bytu, godności i miejsca pracy"? Spodziewam się, że nie – i po prostu zadzwoniłby po policję. Analogicznie: właściciele spółki Alchemia mieli pełne prawo do tego, by wydalić protestujących robotników z terenu huty. Fakt, że – pomimo krążenia takich pogłosek – nie uczynili tego, należy potraktować jako gest dobrej woli z ich strony.

Nie chciałbym, aby moje słowa zostały źle odczytane: utrata pracy połączona z niemożliwością znalezienia zatrudnienia w innym miejscu zawsze stanowi osobistą tragedię dla bezrobotnego i jego rodziny. Podobnie jest ze znaczącą redukcją i tak już niskiego uposażenia w przypadku pracownika pozbawionego jakiejkolwiek alternatywnej drogi zarobkowania. Dramaty te trzeba zrozumieć i współczuć tym, którzy ich doświadczają. Niemniej jednak – nawet, jeżeli brzmi to nieco brutalnie – perspektywa rządzących, a do takiej przecież roli nasze stowarzyszenie aspiruje, nie może być tożsama z perspektywą indywidualnego człowieka; obowiązkiem sprawujących władzę jest bowiem dbać o interes zbiorowości, czyli, w naszym przypadku – mieszkańców województwa śląskiego. W interesie tym leży zaś stworzenie jak najlepszych warunków dla przedsiębiorców – zarówno tych małych i średnich, jak i wielkich inwestorów. Od tego będzie zależało to, czy w naszym regionie będą pojawiać się miejsca pracy, z których skorzystać będą mogli wszyscy – także ci, którzy obecnie tracą zatrudnienie w niegdysiejszej Hucie Bismarcka. Strofowanie pracodawców i wspieranie nielegalnej okupacji prywatnego mienia na pewno nie przysłuży się temu celowi. Tym bardziej nie przysłużą się mu kolejne akty prawne regulujące relacje na linii pracownik-pracodawca: postulowana tu i ówdzie likwidacja tzw. „umów śmieciowych" czy też podwyżki płacy minimalnej, składek emerytalnych i rentowych itd. To właśnie te obciążenia, podnoszące płacowe i pozapłacowe koszty pracy, są w Polsce dominującą przyczyną bezrobocia. Jak świat światem, wzrost ceny jakiegoś dobra może bowiem powodować tylko spadek popytu na nie, nigdy natomiast – wzrost. Tymczasem, jak przypuszczam, to właśnie o ich zwiększeniu Krzysztof Łazikiewicz,, jako zaprzysięgły wróg „dzikiego kapitalizmu", marzy.

Tak naprawdę decyzja firmy o tym, by zwolnić grupę pracowników, z żadną dzikością niczego wspólnego nie ma. Nawet jeśli takie posunięcie nie zostało wymuszone złą sytuacją finansową i jest podyktowane wyłącznie chęcią uzyskania większej nadwyżki zysków, to i tak, mając choćby elementarną wiedzę z zakresu ekonomii, możemy łatwo znaleźć dla niego dające się z etycznego punktu widzenia zaakceptować uzasadnienie. Po pierwsze: żaden okres prosperity nie trwa wiecznie, toteż dzięki zwiększonym zyskom, firmy mogą łatwiej przygotować się na nadejście trudniejszych czasów. Po drugie, choćby zaoszczędzone na cięciach płacowych pieniądze miały zostać natychmiast skonsumowane poprzez wydanie ich na dziesiąty jacht w kolekcji prezesa, to oznacza to ni mniej ni więcej, jak zarobek dla producenta jachtu i szeregu producentów artykułów potrzebnych do jego wybudowania. Kim jest p. Łazikiewicz, by arbitralnie decydować, komu odjąć chleb od ust: hutnikowi, czy konstruktorom jachtów? Po trzecie wreszcie, jeżeli zachowane środki zostaną zdeponowane w banku, to także nie jest to równoznaczne z wyłączeniem ich z obiegu gospodarczego: zostaną one pożyczone komu innemu przez bank lub, po jakimś czasie, zasilą kolejne inwestycje i – co za tym idzie – kolejne miejsca pracy.

Na zakończenie raz jeszcze chciałbym podkreślić, że współczucie dla poszkodowanych hutników nie jest mi obce. Inaczej niż Krzysztof Łazikiewicz, staram się jednak oceniać zjawiska gospodarcze nie odwołując się do porywów serca, lecz w racjonalnych kategoriach ekonomicznych. Pominięcie ich w konstruowaniu śmiałych planów usunięcia z ludzkiego życia biedy i niedostatku miewało już w historii skutki tragiczne: nie pozwólmy, by zrujnowało przyszłość Śląska



Fot. mat. pras.

Strajkujący pracownicy Huty Batory

Mysłowice

Dōm Ślōnskij Ferajny

Na ścianach obrazki z napisami: bōmbōny, graczki, kragel, zdrzadło, bysztek. W antyramach historia Górnego Śląska – oczywiście po ślōnsku. Na każdej ławce „Gōrnoślōnski ślabikōrz". … Miejmy nadzieję, że tak niebawem będą wyglądać szkolne sale edukacji regionalnej. Na razie - namiastkę stworzyła Ślōnskō Ferajna w jednym z pomieszczeń swojej nowej siedziby. „- Bydymy tu ūrganizować lekcyje ślōnskij gōdki - dlō wszyjskich – dzieci a dorosłych, dlō kōżdego, kery chce sie uczyć. Chcymy, by dziynki naszym działaniom wszyscy ci, kerzy uważajōm, że gańba jest gōdać po ślōnsku, zmiynili zdanie" – mówiŁ inicjator powstania placówki Peter Langer ze Ślōnskij Ferajny. Jej uroczyste otwarcie nastąpiło 17 maja w Mysłowicach-Krasowach.

„- Cieszã sie, bo po rōz piyrwszy mogã na oficjalnyj uroczystości gōdać po ślōnsku" – rozpoczął swoje przemówienie Prezydent Mysłowic – Edward Lasok. „- I cieszã się, że takō placōwka, kerō bydzie propagować ślōnskō gōdka powstała w naszym mieście. Muszymy dbać ō naszō historyjã i naszō gōdka, by nie znikły. Życzã wōm wytrwałości i wielu sukcesōw" – dodał. Również Poseł na Sejm RP – Marek Plura - był pełen podziwu dla inicjatywy Ślōnskij Ferajny. „- Takie dōmy sōm potrzebne w każdym mieście. Robicie kawał dobryj roboty i mōm nadziejã, że tak bydzie dalij. Wszystkigo nojlepszego".



Fot. M.Dąbek

Otwarcie Domu Śloskij Ferajny w Mysłowicach

Uroczystego otwarcia dokonali: Poseł na Sejm RP – Marek Plura, Prezydent Mysłowic - Edward Lasok, Prezes Towarzystwa Kultywowania i Promowania Śląskiej Mowy „Pro Loquela Silesiana", a jednocześnie Wiceprezes powstałej dzień wcześniej Rady Górnośląskiej – Rafał Adamus oraz przedstawiciel „Ślōnskij Ferajny" – Peter Langer.

To czwartkowe popołudnie było historycznym nie tylko dla członków i sympatyków Ślōnskij Ferajny, ale również dla środowiska śląskich organizacji i mieszkańców naszego regionu. Podczas uroczystości otwarcia placówki stowarzyszenia podpisały się pod pismem do Prezesa Rady Ministrów – Donalda Tuska, w którym postulują: prawne uregulowanie statusu osób deklarujących narodowość śląską i posługujących się mową śląską. Spis powszechny wykazał, bowiem że Ślązacy stanowią największą w Polsce mniejszościową grupę narodowościową. Sygnatariusze wyrażają nadzieję, iż zaproszenie przez polskie władze przedstawicieli organizacji, stawiających sobie za cel uznanie Ślązaków za mniejszość etniczną, a języka śląskiego za regionalny, do prac Komisji Wspólnej Rządu i Mniejszości Narodowych i Etnicznych „nie tylko nie pociąga za sobą żadnych negatywnych konsekwencji dla władz Rzeczypospolitej Polskiej, ale wręcz przeciwnie – pogłębi zaufanie Ślązaków do instytucji państwa polskiego i przekonanie o poszanowaniu praw obywateli polskich należących do mniejszości narodowych i etnicznych, w tym przypadku Ślązaków, którym umożliwi się wyrażanie opinii w sprawach ich dotyczących". Przedstawiciele śląskich organizacji braliby udział w pracach Komisji w charakterze członków-obserwatorów.

Mirella Dąbek

Katowice

Sejmik pamięta o twórcach przemysłu

17 maja Sejmik Województwa Śląskiego przyjął uchwałę, która zawiera oświadczenie dotyczące uczczenia ważnych postaci, zasłużonych dla rozwoju górnośląskiego przemysłu.

Radni głosowali nad projektem, którego inicjatorem był klub radnych RAŚ w Sejmiku. Projekt został złożony 13 marca w okrojonej wersji, natomiast 16 kwietnia już w całości.

Uchwała zawiera przypomnienie trzech ważnych postaci: Friedricha Wilhelma von Redena, Johna Baildona i Antona Uthemanna.

Na sesji Sejmiku uchwałę prezentował Henryk Mercik, przewodniczący klubu radnych RAŚ i jednocześnie przewodniczący komisji edukacji, kultury i nauki Sejmiku. Wprowadzenie merytoryczne w temat w postaci krótkiego wykładu przedstawił prof. Ryszard Kaczmarek, kierownik Instytutu Badań Regionalnych.

Zastrzeżenia do tekstu przedstawili radni PiS: Czesław Sobierajski i Bożena Borys-Szopa. Uchwała nie została też podjęta jednomyślnie: 19 głosujących było za, dziewięciu przeciw, a 6 wstrzymało się od głosu.

Michał Buchta



John Baildon (1772 - 1846)

Bielsko - Biała

W Bielsku biją Ślązaków?

W żadnym chyba mieście śląska tożsamość nie wywołuje takich emocji, jak w Bielsku-Białej. Stan wrzenia osiągnęły już w 2006 roku. I do tej pory go utrzymują. Przed sześcioma laty z Katowic posypały się gromy na duet Artur Pałyga (dramaturg) - Robert Talarczyk (reżyser). Poszło o spektakl „Testament Teodora Sixta", którym Pałyga wygrał konkurs na najlepszą sztukę o historii miasta. Michał Smolorz, felietonista „Gazety Wyborczej" nie mógł się nadziwić jak można mówić o dziejach Bielska, ewidentnie śląskiego miasta, bez użycia w jakiejkolwiek formie słowa „śląski". Pałydze (urodzony w Hrubieszowie bielszczanin) i Talarczykowi zarzucano antyśląskość i zaprzedanie się lobby „podbeskidzkiemu". Bo nad Białką już wtedy coraz częściej mówiono o tym, że powstaje nowy „region" – zamierzano zerwać ze śląskim i małopolskim dziedzictwem tego „dwumiasta" na rzecz „Podbeskidzia". W roli wodzów tej „tożsamościowej rewolucji" występowali lokalni politycy: Janusz Okrzesik i Grażyna Staniszewska. Ich postulaty znajdowały posłuch wśród części bielszczan, rozgoryczonych po likwidacji samodzielnego województwa i wcielenia go do województwa śląskiego.

Od Ślązakofoba do Ślązakofila

Przez ostatnie lata sporo zmieniło się w mieście nad Białką. Talarczyk i Pałyga znów zbierają cięgi, tym razem jednak od drugiej strony. Ten pierwszy za to, że jako dyrektor bielskiego Teatru Polskiego zgodził się na wystawienie głośnej sztuki Ingmara Vilqvista „Miłość w Koenigshuette", traktującej o szykanowaniu Ślązaków przez Polaków po roku 1945. Media związane z lobby „podbeskidzkim" zarzucają Talarczykowi próbę resilezjanizacji bielszczan. Bielski poseł PiS, Stanisław Pięta domagał się odwołania dyrektora, odezwał się także prezydent miasta. Jacek Krywult, sam urodzony w Stanisławowie (na polskich kresach wschodnich) stwierdził, że sztuka poświęcona cierpieniom Ślązaków nie powinna być grana w Bielsku, którego mieszkańcy rzekomo w ogóle nie odczuli szykan, o których opowiada spektakl. Jest to oczywista nieprawda, wielu bielszczan trafiało po drugiej wojnie do obozów, wielu z nich nigdy nie wróciło. Niefortunna wypowiedź prezydenta zbulwersowała bielskich Ślązaków, nasza redakcja oraz lokalne koło Ruchu Autonomii Śląska na Śląsku Cieszyńskim, przez kolejne dni odbierały telefony i maile od oburzonych osób, które dobrze pamiętają tamte mroczne czasy. O ile ataki posła PiS i faux pas prezydenta można uznać za oburzające, jeszcze gorzej było na internetowych forach. Oburzeni „podbeskidzianie" nie ustawali w pomstowaniu na Ślązaków i dyrektora Teatru. Niektórzy w swoim zacietrzewieniu posuwali się nawet do twierdzeń, że liczba ofiar Tragedii Górnośląskiej powinna być jeszcze wyższa! „‚Śląskość' trzeba tępić i obnażać, bo jest zagrożeniem, większym obecnie niż była za czasów naszych dziadków – pisał jeden z internautów - W B-B ‚śląskość' zaoraliśmy głęboko i mam nadzieję, że na zawsze, a ze ‚ślązakowcami" poradzimy sobie po swojemu". Skala nienawiści wstrząsnęła dramaturgiem Arturem Pałygą, tym samym, który sześć lat temu oburzył Górnoślązaków. Na swoim blogu stwierdził on, że antyśląskie wystąpienia „podbeskidzian" przypominają mu ataki antysemitów na Żydów. Odciął się także zdecydowanie od lobby „podbeskidzkiego", uznając, że nie potrzebuje tego tworu do samoidentyfikacji.

Niewygodna historia

Obecne władze miasta usiłują przekonać mieszkańców, że historia rozpoczęła się tak naprawdę w momencie wymyślenia pojęcia „Podbeskidzie". Wcześniejsze dzieje miasta to niewygodny temat, gdyż przy dyskutowaniu o nim, należy przyznać, że Bielsko to miasto historycznie śląskie. Dlatego solą w oku bielsko-bialskiego ratusza i popierającego go „lobby antyśląskiego" są działania lokalnego koła Ruchu Autonomii Śląska. Powód jest prosty: inicjatywy RAŚ zmierzają do zwiększania wiedzy bielszczan o swojej prawdziwej historii. Także tej sprzed okresu wymyślenia nazwy „nowego regionu podbeskidzkiego". Lokalne media, często związane z „lobby podbeskidzkim", z oburzeniem przyjęły pomysł, by miejscowy klub piłkarski powrócił do swojej tradycyjnej nazwy BBTS. Nazwa ta, kojarząca się kibicom z ponad stuletnią historią została zastąpiona w 2002 roku nową nazwą – „Podbeskidzie Bielsko-Biała". Jeszcze większe oburzenie wywołała sugestia RAŚ, by nowo powstałe rondo w centrum miasta nazwać imieniem księcia Mieszka Cieszyńskiego, śląskiego Piasta, który równo siedemset lat temu założył miasto. Miejscy urzędnicy publicznie twierdzili, że nie ma potrzeby honorowania postaci historycznych, gdyż nie brakuje postaci współczesnych, których nazwiskami można nazywać ulice i ronda, bez konieczności sięgania do niewygodnej śląskiej historii. Prawdopodobnie, na wniosek radnych PiS, rondo będzie nosiło imię byłego prezydenta Lecha Kaczyńskiego, choć ten nie miał z miastem żadnego związku.



Fot. mat. pras. Teatru Polskiego w Bielsku-Białej

Ostatnia scena spektaklu I. Villqista „Miłość w Koenishutte"

Agresja w teatrze

Wspomniana już sztuka „Miłość w Koenigshuette" posłużyła jako okazja do konfrontacji w tej swoistej walce o bielską tożsamość. Jak zawsze, gdy emocje biorą górę nad rozsądkiem, nie zabrakło uproszczeń i nieporozumień. Żółto-niebieskie (barwy Śląska) opaski, które zakładają w finałowej scenie aktorzy, potraktowano jako symbol Ruchu Autonomii Śląska (!), a cały spektakl jako opowiedzenie się reżysera i dyrektora Teatru po stronie Ślązaków. Rajmund Pollak, kontrowersyjny były radny wojewódzki z Ligi Polskich Rodzin, już po pierwszych minutach przedstawienia zakłócał innym widzom jego odbiór, krzycząc ze swego balkonu o rzekomym znieważaniu Polaków. Podczas finałowej sceny zaczął demonstracyjnie machać wielką biało-czerwoną flagą, wywołując wesołość i zdumienie najmłodszych aktorów, dziękujących właśnie na scenie za owacje. Tych samych, którzy w trakcie występu, jako śląscy uczniowie byli „bici" przez polską nauczycielkę graną przez Annę Guzik. Czy już teraz zdają sobie sprawę, jak niewiele zmieniło się w postrzeganiu Ślązaków w Polsce od czasów, o których opowiada sztuka?

W meczu o dusze bielszczan, jak na razie wydają się prowadzić przeciwnicy „śląskości". Spora część bielszczan uwierzyła w rzekome zagrożenie, jakim może być dla nich ich śląska tożsamość. Lokalne media uporczywie lansują nazwę nowego niby-regionu „Podbeskidzia". Jednak coraz więcej znanych bielszczan odważnie mówi o tym, że nowej tożsamości nie da się zbudować wyłącznie na kłamstwach i nienawiści do Śląska.

Adam Papierniok

Katowice

Tacyty rozdane



Fot. A. Smolak

Laureatka Tacyta w kategorii popularyzator prof. Joanna Rostropowicz podczas gali wręczenia nagród

24 maja w auli im. Kazimierza Popiołka Uniwersytetu Śląskiego już po raz szósty odbyła się uroczystość wręczenia Tacytów. Nagroda „Górnośląskiego Tacyta" ustanowiona przez Ruch Autonomii Śląska po raz pierwszy została wręczona w 2007 r. Przypomnijmy, że nagrodzie tej patronuje osoba ks. Augustyna Weltzla – proboszcza parafii w Tworkowie koło Raciborza, uznanego za pioniera górnośląskiej historiografii. Co najważniejsze, jego teksty odznaczały się niezwykłą rzetelnością i całkowitym brakiem narodowych uprzedzeń.

W kategorii badacz historii tegoroczny Tacyt powędrował do prof. Alfreda Sulika (obszerny wywiad z laureatem drukujemy na s. 2) za obszerną i niezwykle sugestywną „Historię Mysłowic 1922-1945". Monografię miasta, która oprócz rzetelnie opracowanych faktów historycznych wzbogaca je opisami przeżytych przez autora zdarzeń.

W kategorii popularyzator nagrodę otrzymała prof. Joanna Rostropowicz za wydane w tamtym roku „Śląskie opowieści z dreszczykiem", ale także doceniony został całokształt jej pracy naukowej. Prof. Rostropowicz jest filologiem klasycznym i autorką wielu publikacji m. in. dotyczących kultury antycznej na Śląsku. Jak powiedział dr Zbigniew Kadłubek cytując P. B. Shelley'a podczas laudacji na cześć profesor Rostropowicz: „Wszyscy jesteśmy Grekami…", którzy wymyślili prawie wszystko, co jest żywotne w kulturze Zachodu, z której wywodzi się kultura Górnego Śląska. Ciekawostką jest to, iż żona Shelley'a – Maria jest autorką jednej z najbardziej znanych powieści grozy – „Frankenstein", której tytuł nawiązuje do nazwy „Ząbkowic Śląskich". Cóż za zbieg okoliczności.

Red.

Bytom

Polegli w wojnie francusko-pruskiej Górnoślązacy uczczeni przez RAŚ

Bytom - miasto starsze od Wrocławia czy Krakowa ma niezwykle bogatą historię oraz dziedzictwo kulturowe. Na jego nieszczęście przez większość swojego istnienia nie było integralną częścią obecnego państwa polskiego, przez co po 45 roku skazano je na śmierć, a jego historię puszczono w niepamięć. W 1870 r., gdy rozpoczęła się wojna francusko-pruska mieszkańcy powiatu bytomskiego walczyli za swoją ówczesną ojczyznę, a po jej zakończeniu znany rzeźbiarz Theodor Kalide postanowił upamiętnić poległych pomnikiem. Śpiący Lew - symbolizujący ofiary - został odlany jako jedyny z Lwów Kalidego w odlewni w Berlinie, po czym spoczął w centrum miasta na postumencie z wypisanymi nazwiskami poległych. Wielokrotnie zmieniał miejsce swojego spoczynku, poczym w czasach PRL słuch o nim zaginął. Gdy historyk Pryswław Nadolski odnalazł go w Warszawskim ZOO, Ruch Autonomii Śląska postanowił nagłośnić sprawę i odzyskać część pomnika służącą jako „ogrodowy krasnal". W 2008 r. dzięki mobilizacji społeczeństwa, władz miasta oraz wkładu finansowego ING, Lew ponownie zasnął na bytomskim rynku. W tym roku po raz kolejny z inicjatywy bytomskiego koła, władze RAŚ upamiętniły ofiary wojny. Trzynastego maja o godzinie 10:30 w kościele Świętego Ducha odbyła się msza święta w intencji ofiar, następnie przedstawiciele RAŚ złożyli pod pomnikiem palmę. Tego samego dnia o godzinie 17:0 szarfy przytwierdzonej do palmy z napisem „Ruch Autonomii Śląska" już nie było, kwiaty zostały zniszczone, a złożona przez Mniejszość Niemiecką róża pływała w fontannie. Ile czasu musi jeszcze upłynąć, aby nasze społeczeństwo zaczęło doceniać fakt, że różnorodność historii może być zaletą a nie wadą?



Fot. A. Kroniewski/KPCS

Delegacja RAŚ w osobach przewodniczącego Jerzego Gorzelika, członka zarządu Leona Swaczyny i radnego sejmiku Andrzeja Sławika składająca wiązankę ku czci Górnoślązaków, którzy zginęli w wojnie francusko - pruskiej 1870 - 1871

Dawid Grabowski

Sklep śląski SILESIA PROGRESS

oferuje największy wybór artykułów związanych ze Śląskiem:

- flagi
- koszulki, bluzy i czapki
- filmy i książki
- naszywki, naklejki i smycze
- mapy, plany i pocztówki

Nie zwlekaj! Kup już teraz to, co chciałeś mieć od dawna i pokaż światu, jak jesteś dumny ze swojej śląskości.

Nasz sklep internetowy:
www.silesiaprogress.com
Tel. 693 953 661

**Organizujesz festyn? Dni miasta?
Zaproś nasze stoisko!**



Po kilku tygodniach przerwy wróciły flagi GÓRNOŚLĄSKIE

Jeszcze lepsza jakość oraz niższa cena
- **jedynie 25 złotych**

Dostępne także flagi na samochód

HITY MIESIĄCA

Wiele nowych książek, w tym długo oczekiwana HISTORIA GÓRNEGO ŚLĄSKA

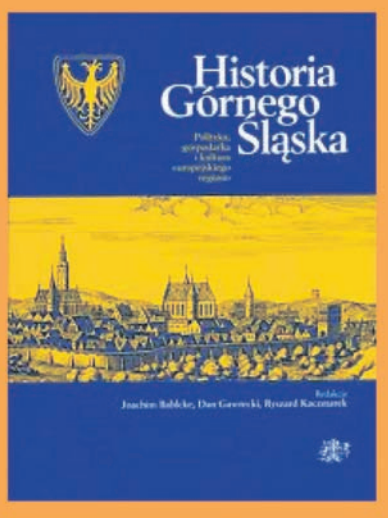



Śląskie smycze



Naklejki samochodowe

SI Silesia

Coraz bliżej do wiosny, zapraszamy więc do działu z koszulkami (ceny od 30 do 40 złotych)









Zapraszamy też do naszej siedziby w Opolu na ul. Reymonta (III pietro, lok. 10)



Dostępna w kioskach Ruchu oraz salonikach prasowych Kolportera